Cena zł 20 + 1 naundusz dzieci „CARITAS"

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok IV | Warszawa 14 marca 1948 r. | Nr 11 (120)

Franciszek Lanndsdorf

Rozmyślania o dochodzie społecznym

Czytałem ostatnio trzy artykuły o dochodzie społecznym. Dwa p. Bronisława Minca: w „Nowych Drogach" i w „Życiu Gospodarczym". Jeden prof. Witolda Krzyżanowskiego w „Ekonomiście". Dodam do nich parę komentarzy. Nie siląc się na podważanie czy potwierdzanie tez wypowiedzianych przez bardziej ode mnie kompetentnych autorów, postawię sobie jedno tylko zadanie. Spojrzeć na niektóre tezy dotyczące dochodu społecznego, tak, jakby nigdy dotąd nie były ustalone czy obalone. Wywoła to u ekonomistów wrażenie naiwności. Ale wydaje mi się, że podejście takie może być w konsekwencjach twórcze, jeżeli nie wprost to właśnie przez reakcję (hola, hola,) którą wywoła.

I.

Trzy artykuły które powyżej wymieniłem poruszają zasadniczo albo ubocznie problem wartości usług w całości dochodu społecznego. Ale przede wszystkim co to jest dochód społeczny?

Według marksistów, dochód społeczny jest to „ta część globalnego rocznego produktu, która została wytworzona przez pracę, w danym roku wydatkowaną w gałęziach produkcji materialnej". (Cytuję za Mincem Bronisławem).

Anglosasi w swoich zestawieniach dochodu społecznego uwzględniają następujące pozycje:

czynsze z domów i nieruchomości,

renty i procenty,

zyski osób prywatnych i jedn. prawnych,

płace i zarobki.

Jest to więc sumowaniem zysków poszczególnych jednostek lub firm. Całość jest zyskiem, czyli dochodem narodowym w danym roku. Podkreślamy, że wartość usług, np. honorariów lekarskich, zarobków artystycznych, zysków handlarzy jest sumowana razem z zyskami płynącymi z produkcji, np. rolnictwa lub przemysłu.

Natomiast Rosja Sowiecka w planowaniu i statystyce ujmuje jako dochód społeczny tylko następujące działy:

1. Przemysł.
2. Gosp. wiejskie.
3. Inne produkcje materialne.
4. Przemysł budowlany.
5. Transport.
6. Handel.
7. Jadłodajnie publiczne.

Cały szereg usług jak oświata, administracja, wolne zawody nie jest ujęty, i według ekonomistów sowieckich nie stanowi dochodu społecznego. Dochodem są bowiem tylko te usługi, które przyczyniają się do produkcji materialnej. (Handel, transport). Co to jest produkcja materialna? „Kryterium — pisze p. Bronisław Minc — oddzielające produkcję materialną od niematerialnej (to) oddziaływanie człowieka na przyrodę i jej siły, poto by przekształcić je stosownie do potrzeb człowieka".

II.

Wydaje mi się, że niesposób zastanawiać się nad tą czy inną definicją dochodu społecznego, zanim nie zdamy sobie jasno sprawy w jakim celu zestawiamy jego tabelę?

Pierwszy raz pojęcie to powstało w XVII wieku w Anglii, gdy Min. Skarbu przedstawił parlamentowi tabelkę zysków poszczególnych stanów, by zastanowić się nad zagadnieniem: w którym miejscu podebrać dochód narodowy przez opodatkowanie na cele prowadzenia wojny?

Obecnie, w gospodarce planowej, cel zestawienia dochodu społecznego jest nieco inny: Można by go określić jako „tabelę pomocniczą do ustalania jak należy kierować wysiłek narodowy, w celu poprawy jego bytu".

Są oprócz tego cele uboczne. Ważnym jest podział dochodu społecznego, ale na to daje odpowiedź strona bierna tabeli: jak dochód społ. jest wydatkowany. W tym miejscu tą sprawą się nie zajmujemy. Ważnym również ogólny stosunek dochodu do lat poprzednich i narodów sąsiednich. Aby spełnić to zadanie tabela jednak powinna być znormalizowana dla wszystkich lat i narodów, — a nie stety tak nie jest. Sądzę, że nie ma dwu narodów na świecie, które by przyjęły zupełnie identyczny sposób zestawienia tabeli dochodu społecznego. Odkrywczość i wynalazczość na tym polu świadczy ko rzystnie o ruchliwości umysłu ludzkiego, — i o braku jego zdyscyplinowania także.

Powróćmy więc do celu zasadniczego. Jak kierować wysiłek narodu, aby poprawić jego byt. Ustalenie tego celu wydaje mi się nader ważne. Bez niego możemy stworzyć wzory tabeli dochodu społecznego na podstawie których pogrążając naród w nędzę, jednocześnie będziemy się chełpili „wzrostem dochodu społecznego".

Jak to możliwe? — zakrzykną może czytelnicy. Oto proszę:

a. We wzorze klasycznym płace wojska sumuje się z produkcją, np. z produkcją masła czy butów. Przyjmijmy że płace wojska wzrosły o milion jednostek, a produkcja netto danych produktów spadła o pół miliona w tychże jednostkach pieniężnych. Suma dochodu społecznego wykazała wzrost, choć rzeczywiście naród zubożał.

b. we wzorze marksistowskim, przypuśćmy, że produkcja alkoholu konsumcyjnego w Polsce wzrosła jeszcze o 20 miliardów zł., a produkcja butów spadła o 10 miliardów. Tabela dochodu wykaże wzrost w ostatecznej sumie. A nawet w pozycji tej samej (1-ej), wzrost o 10 mrd. złotych. A przecież nie ulega wątpliwości, że rozwój narodowy doznał zahamowania a nie wzrostu.

III.

Przechodząc do samej definicji dochodu społecznego można by poddać krytyce: w definicji anglosaskiej wiązanie jej z wartością pieniężną i z odpłatnością, — pośrednio więc i z podażą i popytem, — w definicji marksistowskiej z pojęciem pracy „produkcji materialnej" i z pojęciem oddziaływania na przyrodę.

IV.

Prof. Witold Krzyżanowski w cytowanym artykule domaga się wprowadzenia kryterium użyteczności dla usług nie-odpłatnych, (może prościej byłoby powiedzieć: nie-płatnych). Do innych usług, płatnych, kryterium tego nie wymaga, jest mu ono niepotrzebne, gdyż wartość tych usług jest mierzona ceną, którą się za nie płaci.

Ten punkt widzenia podlegać winien obszernej krytyce: usługi nieodpłatne są to np. policja, która strzeże mienia każdego z nas, oświetlenie ulic miasta, nauka w szkołach. Usługi płatne to: porady lekarskie, zysk handlarzy za rozprowadzenie towaru itp. Wystarczy popatrzeć uważnie na te dwie grupy usług, żeby stwierdzić że nie ma między nimi najmniejszej różnicy.

Nauka w szkołach jest raz niepłatną, raz płatną. Usługi lekarskie mogą być płatne lub niepłatne — np. szczepienie jest bezpłatne. Ubezpieczalnia jest płatna przez potrącenie z płacy; co w ostatecznym bilansie też trudno nazwać płatną, i odróżnić od ceny jaką płacimy np. za opiekę bezpieczeństwa, policji. Gdyby znieść policję, płace w gosp. planowej mogłyby być podniesione o pewien procent, i obywatele mogliby nająć sobie „czuwajów" Tak samo o podobny procent podnieśćby można płace przy zniesieniu ubezpieczalni i leczeniu prywatnym. Przypuszczam, że w powyższych zdaniach rzuciłem krytyczny snop światła na różniczkowanie usług na płatne i nie-płatne. W istocie dla naszego kryterium, dla badania kierunku rozwoju społeczeństwa dzielenie takie jest niedopuszczalne. W ten sposób gdybyśmy ten przedział dyktowany przez teorie liberalno-konkurencyjne definicji dochodu przyjęli, ujrzelibyśmy ze zdumieniem, że naród który ma nauczanie w szkołach płatne, jest bogatszy od takiego, który ma bezpłatne. To ostatnie bowiem nie może figurować w tabeli według wzoru angielskiego.

Przypominam, że wzór anglosaski może być przydatny jeżeli idzie o obraz, wykazujący nam gdzie nałożyć podatki? Ale z dochodem narodowym, ani z bogactwem narodowym taka tabela nie ma nic wspólnego.

V.

Problem wartości pieniężnej produkcji towarów i usług winien tez nasuwać pewne rozważania. Przypominam, że podchodzę do zagadnień zupełnie naiwnie, po uczynieniu całkowitej tabula rasa z dotychczasowych aksjomatów, ekonomistów. W gospodarce planowej cena towaru może być najzupełniej oddzielnie od pracy weń włożonej ustalona. Również płaca, kiedy mowa o usługach, może nie mieć nic wspólnego ani z pracą, ani z popytem czy podażą. Zróbmy tu dygresję na temat stosunku pracy, do ceny i płac.

VI.

W miarę postępu mechanizacji ilość ludzi, pracujących dla produkcji materialnej będzie malała. Mechanizacja jednak nie da się osiągnąć inaczej jak drogą wielkiego wysiłku właśnie pracowniczego. Stąd wysunięcie na pierwsze miejsce w programach państw marksistowskich zagadnienia pracy. Stąd cześć jaka jest jej oddawana, przywileje jakimi jest otaczana. Stąd „kto nie pracuje ten nie je", to jest ściśle związanie konsumcji z produkcją. W gospodarce planowej, w tym stadium w jakim jest obecnie, — stadium rozpoczynającej się mechanizacji, rąk do pracy jest zawsze za mało. Ale nie potrzeba być prorokiem aby przewidzieć że w miarę postępu, praca będzie coraz lżejsza, — i będzie jej coraz mniej.

Spójrzmy w przyszłość i zastanówmy się nad położeniem, które powstanie gdy przy dużej mechanizacji tylko znikoma ilość mózgów i muskułów będzie potrzebna dla produkcji. Związanie płacy z tą pracą, jakkolwiek proporcja między płacą a wydajnością, doprowadziłaby wtedy do zgromadzenia w rękach małej grupy ludzi sum wielomilionowych, odpowiadającym wyrobionym przez nią to

Wytyczne

Litania naszych czasów

Św. Tomaszu z Akwinu, patronie promiennej, jasnej myśli i przejrzystego sylogizmu udziel pomocy, aby nasza myśl stała się jasna, rozumowanie słuszne, aby nas nie zgubił labirynt niekończących się słów.

Św. Franciszku z Asyżu, bracie ptactwa, zwierząt i wszelkich stworzeń żyjących, wspomóż nas, abyśmy współczuli wszystkim na świecie, aby nie było więcej przyjaciela i obcego, ale jedyne braterstwo miłości.

Św. Tereso z Avile, uśmiechnięta wędrowniczko na trudnych drogach Hiszpanii, poetko dnia codziennego i mistyczko trzeźwej rzeczywistości,
użycz Twego wstawiennictwa, abyśmy umieli pogodzić wzniosły idealizm z rozsądną skłonnością do ustępstw.

Św. Antoni Padewski, patronie młodych i opiekunie dzieci,
Strzeż naszą młodzież, która może zdobyć tak wiele, jeśli świat poprowadzimy ku Prawdzie — i tyle straci. jeśli ulegać będziemy wahaniom,

Św. Benedykcie z Nursii, mędrcze, któryś wiele ukochał, któryś w upadku Imperium Rzymskiego dostrzegł triumf Kościoła,
Na pustelnię ducha weź nas ze sobą, abyśmy umieli usunąć się od świata dla poznania zasad i dróg zbawienia, a potem powrócić w blasku Ewangelii.

Św. Judo Tadeuszu, patronie spraw beznadziejnych,
Jeśli już wszystko inne zawiedzie, nawet wtedy ocal świat przed ruiną.

„Star - Times", St. Luis, U. S.
za The Paulist Fathers, „Information".

warom. Reszta społeczeństwa musiałaby żyć, — gdyby w ogóle żyć mogła, z tego co ci zatrudnieni zechcą jej płacić, za usługi których zażądają. Zresztą we wzorze kapitalistycznym sytuacja jest podobna, z tą różnicą, że zamiast uprzywilejowanych zatrudnionych, mamy właścicieli przedsiębiorstw.

Jednym wyjściem z tego dylematu jest uznać, że towary produkowane są własnością ogółu, pieniądz zaś nie jest żadną nagrodą za pracę, lecz bonem, uprawniającym do korzystania z pewnej ilości towarów. Rzecz prosta w podziale tych bonów muszą być zachowane uprzywilejowania dla pracujących. Ale istota płacy odrywa się od pojęcia pracy w miarę mechanizacji. Istota ceny także, skoro pracuje maszyna.

VII.

Dygresja skończona powracajmy do związku dochodu społecznego z wartością pieniężną, z prawem popytu i podaży. Wiązanie to jest przyjęte jako podstawowe sine qua non w definicji klasycznej. Jest także używane siłą rzeczy, można powiedzieć że jest jeszcze używane, w planowaniu i statystyce dochodu społ. w Rosji sowieckiej. Ale braki tego wiązania są już bardzo widoczne.

Najpierw stało się oczywistym, że ceny się zmieniają, a choćby bogactwo narodowe wzrastało jednakowo, jeżeli np. co rok wyrabia się 3 miliony par butów, — choć cena wyniosła w jednym roku 10 tys. zł. za parę, w drugim 5 tys. w trzecim 3 tys. Dlatego ekonomiści ustalili wskaźniki eliminujące wahania w cenach. Ale podstawą tych wskaźników jest zawsze wartość pieniężna w którymś roku. I to wykoszlawia zupełnie obraz dochodu społecznego takim, jakim chcielibyśmy go mieć: obrazującym pochód narodu naprzód, rozwój jego bytu.

Domieszka elementu popytu do obrazu dochodu społecznego musi też dziwnie wpłynąć na widok jaki ten obraz nam przedstawi. W miarę zmiany stosunku popytu do podaży zmienia się i obraz dochodu społecznego, podczas gdy w rzeczywistości dochód ten związany jest z ilością absolutną — na głowę mieszkańca — towarów i usług produkowanych, ilością uszeregowaną według klucza użyteczności, nie mającej nic wspólnego z pracą, ani ceną, ani popytem i podażą.

VIII.

Przejdźmy do zagadnienia usług. Czy wchodzą one, czy nie, i które wchodzą, a które nie do tabeli dochodu społecznego? Widzieliśmy że anglosasi przyjmują wartość wszystkich płatnych usług jako dochodu, marksiści zaś tylko usługi służące do pokonywania przyrody dla zaspokojenia potrzeb człowieka, tj. do produkcji materialnej.

Bronisław Minc dyskutując w cytowanych artykułach z tezą zaliczania wszystkich usług do tabeli dochodu, przytacza następujący fakt: dwu wspólników ma fabrykę której zysk wynosi milion funtów. Wytaczają sobie proces, i obaj płacą, każdy swemu adwokatowi. Im honoraria są większe, tym większy według wzoru anglosaskiego dochód społeczny. A przecież fabryka produkuje wciąż tylko milion funtów. Zamiast produkcji przyjęto konsumcję, przypomina Minc, i zarzuca, za ekonomistami marksistami, że pomieszano jedno z drugim.

Z drugiej strony Witold Krzyżanowski cytuje przykład płyty. Materiał, wyrób, to niewątpliwie według wzoru marksistowskiego produkcja materialna, pokonywanie przyrody dla zaspokojenia potrzeb. Ale następuje chwila kiedy autor nagrywa pieśń na płytę. To już usługa nie wchodzi w pojęcie dochodu społecznego. A przecież bez tego nagrania wartość płyty byłaby minimalna albo żadna. Jakim prawem więc dzielić usługę od produkcji?

Oba argumenty zdają się być nader przekonywujące. I pogodzenie ich obu jest raczej trudne. Może trochę światła padnie na problem, kiedy przypomnimy sobie propozycję dotyczącą klucza użyteczności, i celu zestawienia tabeli: rozwój człowieka.

Przypuśćmy że istnieje społeczeństwo nie ludzi, lecz zmechanizowanych robotów. Ta parabola przyda się nam bardzo dla uproszczenia zagadnienia. Roboty są poruszane benzyną. Człowiek który co rok planuje pracę społeczeństwa powiedzmy 1000 robotów, oznacza, że potrzeba dla poruszania wszystkich robotów milion litrów ropy. Ropę tę dobywa najpierw 950 robotów, 50 zaś pracuje nad maszynerią dla zmechanizowania wydobycia. Dochód społeczny wynosi rocznie 1 mil. l. ropy plus części maszyn wyrobionych przez 50 robotów. Dotąd kwestia nie podlega żadnej dyskusji.

Z biegiem lat powstaje maszyna, i oto ropę wydobywa już tylko 500 robotów. Inne „roboty“ są zatrudnione jak następuje:

100 wyrabia farby do malowania robotów aby nie rdzewiały,

100 nosi ropę i farbę,

50 maluje inne „roboty“,

250 nic nie robi.

Jak będzie się przedstawiał dochód społeczny?

Ropa wydobyta — 1 mil. litrów, farba produkowana — 5 tys. kg., wartość przewozu ropy — X, wartość malowania — X.

Przez wartość przewozu ropy i wartość malowania rzecz prosta nie rozumiemy wartości pracy robotów przy tym zużytej, — w tym wypadku ilość spalonej ropy, gdyż w braku tego zajęcia „roboty“ stałyby bezczynnie, lecz tylko wzrost użyteczności ropy po doprowadzeniu jej do robotów, i wzrost użyteczności robotów po ich namalowaniu.

Zwracaliśmy usilnie uwagę na 250 robotów, które konsumują ropę i nic nie robią. Ale dochód społeczny mimo to nie tylko nie spadł ale nawet wzrósł. Można by z tego wyciągnąć wniosek, że zatrudnienie jest elementem bogactwa tylko wtedy, jeżeli pokrywa ono zapotrzebowanie ludzkie na produkcję niezbędnych produktów.

Gdyby bowiem tych 250 robotów zatrudnić nagle przy domalowywaniu pięknych orzełków na robotach, suma dochodu społ. nie uległaby najmniejszemu wzrostowi ani ubytkowi. Dopiero gdyby dalszych 250 robotów oderwano od dobywania ropy, wtedy spadła by roczna tabela dochodu. Gdyby malowanie orzełków podniosło wartość robotów, wtedy by roczny dochód wzrósł — o tyle, ile wzrosła wartość robotów.

Wszystko co „roboty“ robią między sobą: śpiewają, procesują się, handlują, — nie wpływa na tabelę dochodu. Natomiast wpływają i to walnie:

1. naprawki robotów.
2. Nauka pracy.

Liczyć jednak tych wartości nie można ilością spalonej ropy, ale kluczem określającym wzrost wartości w cyfrach absolutnych.

IX.

Przyjmijmy, że paru robotów założyło małą fabrykę bimbru, którą dolewają do ropy, aby pracować lżej. Bimber jednak psuje maszyny. Według wzoru klasycznego wartość bimbru podwyższa tabelę dochodu społecznego. Co dziwniejsze, według wzoru marksistowskiego także. A przecież jasnym jest że fabrykat psujący maszyny, choćby handlowano nim w jednostkach ropy, choćby był produkcją w całym tego słowa znaczeniu, jest jednak zubożeniem społeczeństwa robotów, i nie powinien być zaliczany do tabeli dochodu społecznego. Chyba, że człowiek chce pozbawić swoje roboty pewnego procentu ropy, i zastanawia się nad zagadnieniem: od której grupy ją podebrać? Aby rozstrzygnąć to pytanie musi mieć przed sobą tabelę, w której między innymi będą uwidocznione: bimbrarze roczny zarobek z produkcji: 20 tys. l. ropy.

X.

Roboty pracujące zderzały się często, i człowiek kierujący zmuszony był postawić jednego robota dla regulowania ruchu.

Przypominamy, że usługi oddadane przez roboty

a) dla reperacji innych,

b) dla nauczania innych

nie były liczone przez nas jako wartość zużytej ropy, lecz jako wartość wzrostu wartości robotów, zreperowanych i poduczonych. Teraz powstaje zagadnienie czy robot użyty do pilnowania ruchu, spełnia usługę powiększającą dochód społeczny i jak ją obliczać?

Bez robota regulującego rozbijało się rocznie 5 robotów. Od czasu gdy robot został wprowadzony, rozbija się tylko jeden. Wartość zysku społecznego „robota“ wynosi 4 „roboty“.

Rzecz prosta mierzenie ściśle jest wykluczone, — idzie nam tylko o dwie kwestie: po pierwsze czy można zaliczyć do dochodu społecznego wartość usług administracji i policji, po drugie, raz jeszcze wskazać na słuszność obliczania wartości usług nie w wartościach pieniężnych (chyba w celu podatkowym lub finansowym) ale w wartościach szacunkowych absolutnych.

Gdybyśmy odmówili zaliczenia czynności robota, regulującego ruch, do dochodu społecznego, mielibyśmy jak największe trudności z obliczaniem wartości wydobycia, a to według metody kosztów.

Wartość tę obliczamy za pomocą zestawienia kosztów. Materiały potrzebne do napędu, koszt robocizny, amortyzacja.

Materiał i robocizna 500.000 l. ropy,

zużycie machiny 50.000 l. ropy.

W koszt jednak wchodzą ilości napędu potrzebne nie tylko dla samego procesu dobywania, ale także np. wytwarzania naczyń, aby się ropa nie wylała. Nikt nie neguje, że to koszt wydobycia, czyli część dochodu społecznego. Ale dochodzi też wydatek na oświetlenie — znowu koszt produkcji znowu element dochodu, choć przecież światło nie pomaga wprost wydobyciu, tylko umożliwia je, rozjaśniając ciemności. Można by i tu powiedzieć, że wszystkie wydatki nie służące wprost do wydobycia są nie częścią składową dochodu społecznego, ale jego konsumcją. Można by więc zestawić wartość produkcji brutto, a potem ją dzielić na różne działy konsumowane: przez robota produkującego naczynia, przez robota oświetlającego kopalnię, przez robota regulującego ruch innych robotów.

Gdybyśmy obliczali wartość ropy według kosztów, to widzimy, że im więcej jednak odejmiemy ubocznych kosztów od wartości dobywanej ropy, tym niższy jest koszt jej wydobycia. Im więc taniej kosztowałaby produkcja, tym ropa mniej byłaby warta. Jest to paradoks, gdyż 1.000.000 l. ropy jest zawsze 1.000.000 l. i zawsze może służyć do poruszenia 1.000 robotów — do utrzymania całego roboczego społeczeństwa. Stąd wracamy do sugestii, aby szacować dochód społeczny we wskaźnikach absolutnych, oderwanych zarówno od wartości pieniężnej, jak od pracy włożonej w jego dobycie, jak też i od prawa popytu i podaży. Wydaje się, że wskaźnik ilościowy pomnożony przez klucz użyteczności byłby znacznie bardziej wymowny.

Jeżeli wartość pracy, czy ilość pracy włożonej w produkt nie wpływa wcale na jego wartość, — to i problem kosztów produktu staje się zupełnie iluzoryczny. Wiemy zresztą z praktyki, że cena produktów nie miała nigdy nic wspólnego z kosztami jego wyrobu. Można by cytować monopole, można by przypominać dziwne abrakadabry z wysokością amortyzacji czy procentów od kapitału, — mniejsza o to. Przypomnijmy jeszcze jeden fenomen: spekulację. Wszystkie te terminy oznaczają ten sam fakt i są dowodami na nieznośny teoretyzm tezy, dowodzącej jakoby wartość produktu, czy też usługi, miała cokolwiek wspólnego z jego kosztami osiągnięcia.

Problem kosztu i stosunku kosztu do ceny jest ważny dla statystyka. Dla planującego jest tylko materiałem, który może wpływać na ustalenie ceny wówczas tylko, gdy cena ta jest uzasadniona z punktu widzenia całości gospodarki, tj. jeżeli minister nie może sobie dać rady z obiegiem pieniądza.

XI.

Przypuszczam, że parabola powyższa uprzytomniła nam wyraźnie różnicę w celowości zestawiania tabel dochodu społecznego, i co zatem idzie w definicji tychże— między tabelą kapitalistyczną, a tabelą społeczeństwa planującego. Zresztą obie tabele te mogą wzajemnie być przydatne dla obu ustrojów — tylko nie powinno się je nigdy mieszać ze sobą, ani pod jedną nazwą skupiać.

Różnica polega na tym, że tabela planowania nie może pomijać elementu użyteczności ludzkiej.

Dalej parabola zdaje się wskazywać, że w miarę wzrostu mechanizacji to jest produkowania wielkiej ilości towarów za pomocą małej ilości ludzi, winna wzrastać renta płacona ludziom niepracującym. Inaczej 250 robotów niezatrudnionych stanęłoby bez ropy, 500 zaś pracujących, przy wydobyciu nie mogłoby skonsumować więcej niż konsumuje. „Roboty“ mogą stać bez ropy, ale ludzie bez żywności i odzienia nie. Z całą siłą uwypukla się charakter bonów podstawowych i premiowych, jakimi są: renty i płace.

Ale wracajmy do usług. Parabola potwierdza wzór marksistowski. Usługi nieprodukcyjne, nie powiększają dochodu narodowego. Nie powiększają puli artykułów pierwszej potrzeby, z której społeczeństwo żyje (zapasu ropy). Czy 250 robotów śpiewa, czy procesuje się, gra w piłkę, jest to dla ilości dobywanej rocznie ropy zupełnie obojętne.

Równie daleko idą konsekwencje paraboli w chwili gdy glina staje się człowiekiem, i na „robota“ zaczniemy patrzeć, jak na bliźniego, jak na żywą istotę. Powstanie, czy powróci z całą siłą, zagadnienie hierarchii celów.

Przypuśćmy, że w pewnej fabryce porcelany pracuje 100 dziewcząt. Pewnego dnia zaczynają one zajmować się, powiedzmy spacerami z młodymi ludźmi na koncerty. Produkcja porcelany spada. Kierownik dziewcząt woła je i zaklina, by przestały się zajmować spacerami, a dalej produkowały porcelanę. Dziewczęta odpowiadają: koncert jest ważniejszy. Nie chcemy się zasuszyć w twojej fabryce.

Fabryka porcelany to gospodarka materialna. 100 dziewcząt, to naród. Kierownik to Urząd planowania, a koncert to usługi nie-materialne.

Istotną różnicą teoretyczną między robotami, a ludźmi jest to, że ludzie posiadają potrzeby trudne do obliczenia w jednostkach materialnych.

Dla kierownika fabryki porcelany problem koncertu jest nieistotny i dobrze, że tak jest. W przeciwnym razie doprowadziłby do ruiny kierowaną fabrykę. Musi zrobić plan roczny z uwzględnieniem, ile dziewcząt będzie pracować, i ile porcelany się wyrobi. Każda godzina spędzona przez dziewczęta na koncertach jest z jego punktu widzenia stracona, i ma zupełną rację.

Stąd też rząd, który planuje jedynie produkcję towarów materialnych i usług niezbędnych do tej produkcji, jest w pełnym prawie tak czynić, i domagać się wypełnienia planu, i nie słyszeć o żadnej innej „wyższej“ produkcji.

Ale rząd nie może się ograniczać do popierania rozwoju produkcji. Ludzie nie są robotami i widzą swoje potrzeby duchowe i usługowe, które pragną zaspokoić. Pojęcie samo człowieka łączy się z rozwojem tych usług. Nie zwiększają one puli materiałowej. Ludzie, którzy przy nich pracują konsumują bez innego ekwiwalentu kromki tej puli. Ale cóż. Rozwój produkcji materiałowej bez rozwoju tych usług, będzie jednak synonimem pogorszenia a nie polepszenia bytu społeczeństwa.

Przykład cytowany przez Br. Minca dwu procesowiczów nie jest istotny. Nadużycie usług nie świadczy przeciw ich znaczeniu dla rozwoju człowieka, jak nie może świadczyć przeciw produkcji nadużycie alkoholu, kokainy czy środków wybuchowych. Rozwój prawa i adwokatury należy do najważniejszych zdobyczy ducha ludzkiego, i przyjęcie karykaturalnego wypadku, gotowe nam zaciemnić ten fakt, i rzucić złe światło na doniosłość usług właśnie niematerialnych.

Natomiast jest przykładem podkreślającym wagę postulatu: utworzenia klucza użyteczności — zarówno produktów, jak i usług.

XII.

Powyższe rozmyślania uwypukliły nam znaczenie odłączenia pojęcia pracy włożonej w produkcję, od pojęcia wartości produktu. Również podkreślony został postulat wprowadzenia wskaźnika użyteczności, — jako racjonalnego miernika dóbr wytworzonych i dochodu społecznego.

Jeżeli idzie o usługi, to parabola ze społeczeństwem robotów, ukazała nam jak dalece wszystkie usługi, w szczególności lekarskie, naukowe, i administracyjno - policyjne są nieodzowne dla produkcji materialnej. Gdyby więc liczyć wartość produkcji materialnej ilością kosztów czy pracy w nią włożonej — trudno byłoby te usługi pominąć. W razie bowiem ich ustania, niebawem obniżyłby się znacznie i poziom danej produkcji czysto materialnej. Jeśli więc już upierać się przy liczeniu kosztów pracy dla szacowania wartości produkcji, należałoby zaliczać czy odrzucać dane usługi do kosztów, metodą eliminacji. Ten system jednak jest kapitulacją umysłu ludzkiego, wobec terroru obrotu pieniężnego.

Dla wysokości dochodu społecznego, dla tabeli ilustrującej coroczny postęp czy cofanie narodu po ciężkiej drodze rozwoju, nie są istotne wytworzone wartości obliczane metodą kosztów. Istotona jest absolutna ilość produktów i usług wytworzonych — pomnożona przez współczynnik użyteczności.

Marian Bader

Odgrodzić się od obłędu

(artykuł dyskusyjny)

Dokoła życia w obozach koncentracyjnych, tej upiornej problematyki, która była treścią istnia wielu tysięcy i milionów mieszkańców Europy, zarówno na naszym narodowym gruncie, jak i w krajach dotkniętych hitlerowskim terrorem, rozwinęła się przebogata literatura i publicystyka, strasząca widmem obrazów, okrucieństwa i cierpienia ludzkiego, zezwierzęcenia i głodu, są to niewątpliwie świadectwa olbrzymiego psychicznego wstrząsu, jakiego doznaliśmy w zetknięciu z potworną rzeczywistością obozu.

Moje własne życie ułożyło się inaczej, niż moich współbraci. Nie wróciłem do kraju, gdzie padłbym w wir tej „kacetowej" literatury i publicystyki i stałbym się jednym z tych, którzy ocaliwszy swe życie, czy to słowem pisanym, czy w codziennym kontakcie ze społeczeństwem dają świadectwo przerażającej prawdzie. Bieg życia pchnął mnie na zachód, znalazłem się niespodziewanie na wyspie ludzi, którzy nie doświadczyli nigdy czegoś podobnego, jak Oświęcim.

Przechadzając się jesienią roku 1945 po ludnej Regent Str. zwróciłem naraz uwagę na jedną z takich dokumentarnych wystaw o terrorze niemieckim, organizowanych podówczas przez wielkie koncerny prasowe Wielkiej Brytanii. Wspomnienia moje wtedy były jeszcze tak żywe, że wolność i względny dobrobyt życia wydawały się snem na tle tej nie tak dawno prawdziwej okrutnej egzystencji. Z zaciekawieniem przeto zaglądnąłem do wnętrza salki, aby się przekonać ile z prawdy naszego istnienia udało się pochwycić w tym wielce migawkowym momencie wkroczenia aliantów do obozu. Ścianki zdobiły zdjęcia dobrze znanych Buchenwaldzkich bloków, te same wnętrza, straszące ciżbą zgłodniałych więźniów, masy ludzi-szkieletów, których transportowi przyglądaliśmy się co rana pod koniec naszego pobytu w obozie, wszystko bliskie, znajome nieomal namacalne. Obrazy te były smutne, ale przecież nie tak tragiczne, jak tragicznym naprawdę był obóz. Bo istotą okrutnej nędzy naszego życia nie były ani upadlające warunki bytowania, ani brud, jaki nas otaczał, ale niszczący rytm życia lagrowego, w atmosferze okrucieństwa i zezwierzęcenia zarówno SS-manów, jak i współtowarzyszy. Ilustracje mogły schwycić tylko statyczny obraz obozu w momencie, w którym zastali go alianci. Świadczyły one o brzydocie i niehigieniczności naszych pomieszczeń, szkieletom podobne postacie więźniów mówiły o przebytym głodzie, szeroko jakby w przerażeniu patrzące błędne oczy oglądały zapewne pełne zgrozy widowiska.

Obrazy, które na mnie spoglądały ze ścian budziły we mnie nieomal rozrzewnienie, znajome budynki, niedawno oglądane twarze współtowarzyszy, ot taka sobie nasza rzeczywistość obozowa, ale na podstawie tych dokumentów, nie taka znów ponura ani groźna. Wyznam, że rozczarowanie moje z ubóstwa nagromadzonego materiału wprawiło mnie prawie w złość. I czym ich tu przekonać, że tam naprawdę było strasznie? Ciekawie rozglądałem się po tłumie zwiedzającej to muzeum rzekomych okropności publice i ku mojemu zdumieniu dostrzegałem u większości wyraz niewiary, nieufności w prawdziwość zdjęć i informacji.

I czemuż tu na Boga nie wierzyć — myślałem — przecież to nic tak strasznego, jeśli tym bezwartościowym fotosom nie ufają, to jakże będą się do naszych słów odnosić, naszych świadectw o prawdzie? Przecież to, o czym świadczyła ta wystawa było najmniej ważne. To tylko dwu wymiarami objęte dowody dla oka, że tak a nie inaczej wyglądało zewnętrznie miejsce naszej kaźni i ludzie w niej się znajdujący. Nikt już światu nie przekaże, ani życia nie przywróci zamarłym dźwiękom, nie zarejestruje się już nieustannego wrzasku SS-manów, Capów, blokowych, nie schwyciło się na żadną płytę wściekłej muzyki bloków buchenwaldzkich, kładących się do snu i budzących przy nieustannym akompaniamencie najróżniejszych czasem niezrozumiałych rozkazów i komunikatów podawanych przez zawsze czujne megafony, nie usłyszy się już marszów uroczystych, żegnających długie kolumny niewolnicze, popędzane do pracy, ani tej samej orkiestry wyjącej o zmierzchu na przywitanie tych, których głodem i pracą i bezsensownym prześladowaniem w ciągu dnia męczono i upadlano. A małoż cierpień sprawiał zawsze obecny wstrętny zaduch, wydzielany przez ciżbę brudnych, przepoconych ciał? A zmysł naszego dotyku czyż nie cierpiał ilekroć okrywaliśmy ciała żebraczymi łachami, nie mówiąc już o tym, że bólu razów uderzeń nikt nikomu nie uzmysłowi.

Zastanawiało mnie nieraz potem czy nie było to objawem anglosaskiego braku wyobraźni, specyficznego tylko dla ludności tego wyspiarskiego narodu. Przecież we Francji tym samym prawdom nie przeczyło się nigdy. Nad nami, ludźmi z obozu była aureola męczennictwa. Paryż witał powracających z entuzjazmem, współczuciem i zrozumieniem. Pozdrawiano cudownie zmartwychwstałych do życia. Tak, ale Paryż witał mnogie tysiące swych najbliższych, którzy łzami, głosem nienawiści i skargi trafiali do serc nie obcych, ale tych swoich najdroższych, którzy czekali ich powrotu z sercem bijącym trwogą i niepewnością, świadomi niemieckiego mistrzostwa w okrucieństwie i metodycznej zagładzie milionów. Złość i gniew na zatwardziałych wyspiarskich sceptyków stały się udziałem ogromnej większości Polaków, którzy się z tą nieprzyjemną reakcją niewiary angielskiej zetknęli. Utyskiwania, a czasem nawet brzydkie złorzeczenia sypały się na Anglię, za jej w tej postawie zdradzający się filogermanizm. Znane są dobrze nieomal żałosne odezwania się niektórych, że przydałoby się Anglikom dobrodziejstw niemieckiej okupacji. N. b. tego typu spostrzeżenia odnoszą się przede wszystkim do tych z naszych rodaków, którym los nie oszczędził ciężkich doświadczeń wojny na zajętym przez Niemców terenie. Ci natomiast, których kampania wrześniowa szczęśliwie pognała na wychodźctwo albo inne koleje losów aż tu zapędziły, jeśli w rodzinie swej nie mieli ciężkiej tragedii, która otworzyłaby im oczy na straszną prawdę cierpień całego kraju, gotowi są nieraz w politycznym zacietrzewieniu nie szeregować należycie wartości walki z Niemcami.

W świetle obecnej polityki humanitaryzmu uprawianej przez narody anglosaskie, Niemcy wydać się nam mogą ponownie mistrzami w swej szatańskiej metodzie morderstwa, z której świadomie wyłączyli Anglików i Amerykanów. Ci bowiem jeńcy anglosascy, którzy się tam przypadkiem znaleźli, byli już prawie żywymi trupami, przeznaczeni na pewną zgubę, aby nie mogli dać świadectwa prawdzie naszego życia obozowego. Stąd kontakt szerokich mas angielskich czy amerykańskich z byłymi jeńcami obozów praktycznie nie istnieje. Łatwo można byłoby przewidzieć, że inaczej musiałaby wyglądać polityka angielska wobec Niemców, gdyby nie było na wyspie ani miasteczka, ani wsi, z których nie byłoby dość świadków życia więźniów w obozach śmierci.

Wyznać muszę, że w mych pierwszych zetknięciach z ludźmi o normalnej egzystencji stosunek mój do ich problemów, kłopotów, przeżyć był wysoce nie uczuciowy. Przypominam sobie pierwsze wrażenia, gdy spotkałem uroczysty kondukt pogrzebowy; widok w żałobne stroje przyodzianego towarzystwa i bolesna mimika twarzy ludzkich wydały mi się naprawdę anachronizmem w zestawieniu z poniewierką i obojętnością, jakie odprowadzały naszych zmarłych na ich wieczny odpoczynek. Moich towarzyszy wiozły ongiś taczki, ciągnione przez ludzi-półtrupów do hurtowo pracujących pieców, nie tylko luksus ceremonii pogrzebowych, ale nawet łzy i wzruszenia omijały te szczątki ludzkie. Na tle tragicznego zatracenia milionów ludzi w Europie, łzy angielskie przelewane dla drobnych, takich naturalnych ludzkich trosk i przeżyć wydały mi się co najmniej nie na czasie. Zanim mogłem sobie zdać sprawę z istotnego sensu mych reakcji uczuciowych, spotkał mnie słuszny zarzut, że stępiałem na ludzki ból w ciągu lat własnych cierpień. Oczekiwałem przecież, że się otworzą oczy niedowiarków i obojętnych, gdy przyjdzie literatura obozowa. Pod jej dotknięciem zmartwychwstanie nasze cierpienie w całym swoim patosie, zmartwychwstanie i to męczeńskie życie, którego zdjęcia i statystyki nie potrafią odzwierciadlić. W literaturze przyszły myśli, słowa poczęte w bólu, nie sucha kronika, ale życie, widziane oczami ludzi wrażliwych, czułych artystów. Zaroiła się też twórczość europejska i nasza polska przede wszystkim od tych wspomnień, niektóre utwory tchnęły prawdą życiową i tętniły myślą, zrodzoną w męce dni niewoli.

Ale na wyspie wciąż głucho. Gdzieniegdzie pojawiają się statystyki, omawiające przesiedleńczą politykę Niemiec, albo metody rekrutowania do pracy, operują prawdziwymi cyframi, wykazami, dokumentami, ale nie mówią nic o cierpieniu człowieka, wygnanego z ziemi ojczystej, poniewieranego po obozach. O tych, których wepchnięto za strefy okolone drutami i strażnicami, cyfry te nic nie opowiedzą. Wspomnienia, choć przetłumaczone na angielski, nie doczekały się rozgłosu ani popularności, są jak powiadają wydawcy niepopularne, nieatrakcyjne nawet tematyką swoją; i tak literatura, która na naszym terenie tchnie życiem i śledzi się jej rozwój z prawdziwym zainteresowaniem, tutaj przeobraziła się w zagadnienie nieomal tylko naukowe, interesujące co najwyżej specjalistów, podobnie jak dawna nasza literatura martyrologiczna, jak utwory naszych wieszczów posiadać będzie dla Anglików wartość tylko regionalną, lecz nie światową. Mój znajomy wydawca chciał mnie nakłonić do napisania artystycznie ujętych wspomnień obozowych, z tym zastrzeżeniem jednak, aby nie posiadały one żadnych momentów, jak się wyraził „okropności", aby tylko dawały informację, jak się tam naprawdę żyło. Uderzyło mnie niepodobieństwo zastosowania się do warunków ewentualnej umowy, bo nieomal każda moja informacja wedle takiego ujęcia podpadałaby pod kategorię owych „okropności".

Ogólnikowe stwierdzenie radosnego dla Anglików faktu, że nie doświadczyli strasznej rzeczywistości okupacji, więc nie mogą zrozumieć naszego problematu, nie wyjaśni nam istoty głębokiej niechęci do zapoznania się z cierpką prawdą o naszym wielkim udziale w ofiarach tej wojny. Niewątpliwym jest faktem, że oni chcą przemilczeć i zapomnieć o czymś, co jest nie tyle przedmiotem naszej chluby, ile słuszną podstawą dla naszej polityki i naszego prawa do zadośćuczynienia.

Nie można przecież jednak tylko złą wolą albo brakiem wyobraźni tłumaczyć fakt, że gdy się Anglikom powie, że w naszym kraju zostało wymordowanych bestialsko w komorach gazowych i wystrzelanych na drogach wielu Polaków i Żydów, twierdzenie takie spotyka się z niewiarą, a w najlepszym wypadku z brakiem zainteresowania. Przypomnę tu teraz stary dowcip z czasów wojny, jakże okrutny, a przecież prawdziwy. „Czy pan wierzy w życie pozawagonowe?" pytanie, w którym zawiera się wyznanie, że byli u nas jednak ludzie, którzy wbrew oczywistości faktów, póki się dało, nie chcieli wierzyć w fakt masowej zbrodni. Czy potępilibyśmy takich niedowiarków? Sądzę, że nie. Bo ich niewiara świadczyła o ich psychicznym zdrowiu, nie byli po prostu w stanie uwierzyć, że tego typu zbrodnia może w świecie zaistnieć: wnikając w istotę ponurego dziedzictwa niemieckiego panowania w Polsce dojrzymy obok zewnętrznych ilustracji ich zbrodni: popalonych, poniszczonych wsi i miast, obok niekończących się list ich ofiar, wyrażających się w milionach pomordowanych i zakatowanych ludzi, piętno tej bestialskiej roboty dojrzymy i w sercach naszych. Niektóre z tych objawów demoralizacji wojennej są dobrze widoczne i stanowią bolączkę administracji gospodarczej i politycznej naszego Państwa, lecz są na szczęście przedmiotem walki zarówno od góry jak i od zdrowego dołu. Ale znacznie niebezpieczniejsze w skutkach stać się mogą te nie zauważone przemiany w naszym uczuciowym nastawieniu do świata i życia, które przez fakt swej olbrzymiej naprawdę powszechności mogą być nie potępione i niezwalczone. Chodzi mi tu o fakt, że na skutek nieosiągalnych wprost rozmiarów niemieckiej zbrodniczości nasza wrażliwość i wyobraźnia nie przeraża się faktami najbardziej wyszukanego zła.

Czyżby Anglię uchronił wąski pas kanału nie tylko przed inwazją, ale przed czymś straszniejszym jeszcze — zarazą obłędu zbrodni? Przecież przed drugą wojną światową nikt nie przypuszczał, że może w świecie sankcji moralnej rządzić zło tak dogłębne, jak to, które poznaliśmy. To, co było jeszcze niedawno nie do pomyślenia stało się oczywiste nawet dla dzieci, takie po prostu tylko po ludzku — niedobre Gdy zapytano się Solona, czemu w swych prawach nie ustalił kary na ojcobójstwo, powiedział, iż nie wyobraża sobie, aby ktoś mógł dopuścić się tak strasznego czynu. I rzeczywiście trzeba przyznać, że najlepszym zabezpieczeniem przed grzechem jest niewiedza, że może być popełniony. Jeśli coś jest nie do wyobrażenia, ani dla sumienia, ani dla umysłu większości ludzi, którzy stanowią trzon i opinię społeczeństwa, jest to najlepszym zabezpieczeniem przed możliwością spełnienia się takiej zbrodni. I Hitler nawet swe najbezecniejsze zbrodnie popełniał nie na oczach szerokich mas, ale za drutami obozu, najchętniej w krajach okupowanych. Powstaje zatym zagadnienie, czy dla naszego zdrowia moralnego dla wzrastającego pokolenia literatura obozowa i mit wielkiej zbrodni nie są szkodliwe? Osobiście sądzę, że wstrząsające opisy doznanych nikczemności zniknąć powinny nie tylko z literatury, ale i z polityki. Propagandowo nie spełniają swego zadania, przeciwnie namiętnością oskarżeń rażą, nie budzą wiary w świecie niewstrząśniętego ładu prawa i kanonów ludzkiej moralności. A w kraju są one codziennym potwierdzeniem o bezmiernych możliwościach człowieka w dziedzinie zła i występku. Nawet zrozumiałe pragnienie kary nie powinno się karmić lekturą czynów, które muszą być niepowtarzalne.

Bynajmniej nie dopatrując się u Anglików wyższości w fakcie, że nie chcą wejść nawet w myślowy kontakt ze zbrodnią, myślę jednak, że warto by się było odgrodzić od obłędu zbrodni przez definitywne zaprzestania analizowania jego procesu przyczyn, objawów i skutków.

W przeszłości nie odgrodził nas kanał od ciężkich doświadczeń, dziś jednak tempo zadań chwili bieżącej musi nas ustrzec przed odżyciem martyrologicznej literatury, przed ciągłym powtarzaniem się w myśli możliwości tego potwornego zła. Trzeba nam zdrowia psychicznego narodu, trzeba by znów zaczęła panować religia ludzi dobrych. „Błogosławieni cisi" wszyscy ci, dla których nie było życia w twardym prawie obozu. Trzeba pojęcia zła odsunąć jak najdalej od młodego pokolenia. Litość i miłość, przebaczenie były zjawiskami nieomal nadprzyrodzonymi, nie mieściły się w normalnym biegu życia więźniów obozowych. Uczynić te wartości ponownie składnikami naturalnego postępowania ludzkiego, przywrócić im straconą aktualność — to powinno być tematem, myślą przewodnią nowych rozmyślań i nowej literatury dla tych, którzy okrutnego życia w atmosferze zwierzęcej walki o byt nie znają. Nie rozpamiętywanie krzywd, ale prawdziwa moralność, odbiegnięcie od możliwości zbrodni — to droga do psychicznego uzdrowienia narodu.

Marian Bader.

Przegląd Francuski

KONIUNKTURY FASZYZMU

140 numer „Esprit" poświęcony jest zagadnieniu faszyzmu. Emanuel Mounier już przed półtora rokiem wyraził pogląd, że klęska faszyzmu jest pozorna i stanowi tylko przerwę w jego ekspansji.

Istotnie, wydaje się, że narastający konflikt światowy wywołuje skutek, którego nie pragnie ani jedna, ani druga strona. Konflikt ten stwarza możliwość odrodzenia się faszyzmu, czy neofaszyzmu. Uzasadnione to jest zarówno koniunkturą polityczną — U.S.A. popierają siły antyrosyjskie, jak i ideową — ze strony anglosaskiej brak jest przeprzeciwstawienia doktrynalnego komunizmowi. Koniunktury te wpływają podniecająco nie tylko na ugrupowania faszystowskie w Niemczech, czy Italii, lecz nawet w Anglii, U.S.A. i Francji. Ostrość tego problemu dla Francji formułuje „Esprit" w stwierdzeniu, że „jeśli naród francuski nie przeciwstawi się mniej lub więcej zamaskowanym przedsięwzięciom faszyzmu, Francja jest stracona dla cywilizacji".

Warto zapoznać się z problemem postawionym przez „Esprit". Istota tego zagadnienia sprowadza się dla Francji do trzech punktów: 1) faszyzm nie może się rozwijać w płaszczyźnie wyłączności narodowej, 2) struktura Francji pozostała kapitalistyczna, 3) kryzys polityczny, gospodarczy i finansowy nie może być we Francji rozwiązany przez kadrę ludzi obecnie nią rządzących i przez dotychczasowe instytucje.

Zwracając uwagę na niebezpieczeństwo odrodzenia się faszyzmu, „Esprit" ustawia się jako współtowarzysz komunistów. Powołując się na przykład Churchilla i Stalina, którzy nie wahali się zjednoczyć w obliczu najazdu hitlerowskiego, P. Fraisse stwierdza, że przymierze nie oznacza rezygnacji z własnych celów każdej strony.

Zasadniczym elementem niepokoju redaktorów „Esprit" jest działalność gen. de Gaulla. Rozwój prowadzonej przez niego organizacji, jej wyraźny antykomunistyczny kierunek, oraz dołączanie elementów skrajnej prawicy i kollaboracjonistów, stwarzają teoretyczną możliwość wejścia na drogę totalizmu. Podstawowym czynnikiem taktyki ruchów totalnych było zawsze wyzyskiwanie naturalnych w każdym narodzie tendencji zjednoczeniowych. Mussolini mówił: „faszyzm nie jest partią, jest przeciwpartią — ruchem". Narodowy socjalizm rozbudzał mistykę zjednoczeniową w najwyższym stopniu. Mniejsze ruchy faszystowskie w innych krajach, rzucając hasło rewolucji narodowej starały się osiągnąć ten sam cel. Ale tylko Hitler i Mussolini nadali tej mistyce znaczenie rzeczywiste i dynamiczne, oraz drapieżność w atakowaniu Historii.

De Gaulle również występuje z tezami zjednoczenia Francuzów, zaś organizacja jego określa się nie jako nowa partia, lecz jako ruch. Nie proponuje programu, tylko mistykę. Mistykę porównuje do prądu elektrycznego. Elektryczności nie można zdefiniować, ale wiadomo, że ona ogrzewa i oświeca.

Jan Maria Domenach jedyną zaporę przeciwko de Gaulle'owi widzi w związkach zawodowych, przeciwko którym, jak sądzi będzie skierowany frontalny atak generała.

Drugim czynnikiem taktyki totalistycznej jest propaganda mitu Męża Opatrznościowego. Ruchy totalne starają się wpoić w społeczeństwo przekonanie, że Wódz posiada dar politycznego jasnowidzenia i jest uosobieniem Ojczyzny. Taktykę tę można obserwować w propagandzie zwolenników de Gaulle'a. Sam generał stara się pozostawać w cieniu i nie chce być leaderem R. P. F. J. W. Lapierre sądzi, że generał raczej nie chce ujawnić swego kierowniczego stanowiska i uważa to za mistyfikację.

Jak dowodzą wybory samorządowe, R.P.F zgrupował w swych szeregach członków skrajnej prawicy, większość elektorów radykalnego centrum, wielką liczbę byłych wyborców MRP. Sukces swój zawdzięcza de Gaulle ogłoszeniu krucjaty antymarksistowskiej, głoszeniu tezy konieczności budowy silnego państwa oraz dążeniu do rozbicia lewicy. Pomimo tego, że de Gaulle był jednym z autorów procesu Petaina, głosowali na niego również zwolennicy marszałka. Ogłoszony w „Le Monde" list jednego z petainowców, wyraźnie świadczy, że ludzie z Vichy traktują RPF jako dalszy etap po MRP w drodze ku przywróceniu faszyzmu. De Gaulle nie jest faszystą i wielokrotnie z oburzeniem odrzucał zarzuty oskarżające go o chęć wprowadzenia reżimu faszystowskiego. Proponuje on zrealizowanie ustroju prezydenckiego, w którym autorytet prezydenta wywodzący się z woli narodu mógłby stanowić przeciwwagę dla Parlamentu i partii. Zdaniem Francois Gauguel, projekty takie noszą w warunkach francuskich zarodki faszyzmu, gdyż walka z demokracją przybierała zawsze we Francji formę walki z parlamentem i istnieniem partii. Emanuel Mounier „odrzucając faszyzm i krytykując komunizm", jedyną możliwość ocalenia Francji przed faszyzmem widzi w tworzeniu trzeciej siły, zarówno w sensie ideowym, jak i materialnym.

CZY ISTNIEJE NEO-FASZYZM AMERYKAŃSKI?

W odpowiedzi na to pytanie, amerykański korespondent „Esprit", nadsyła następujące uwagi:

„W Paryżu zdanie to nie dziwiło mnie. Tutaj, traktuję te trzy słowa—neofaszyzm amerykański jako coś zdumiewającego... Dla macedońskiej guerilli, mandżurskich komunistów, dla syndykalistów hiszpańskich, polityka zagraniczna U.S.A. jest faszystowska. Opinia ta jest instynktowna, ale i nieco gruboskórna. Oczywiście rząd Czang Kai Szeka jest reakcyjny, ale jeśli Departament Stanu (nie opinia publiczna) go podtrzymuje, to dlatego, że zdaniem ministrów U.S.A. nie ma wyboru. Jeśli Waszyngton wysyła do Grecji instruktorów, to nie w celu umocnienia tam faszyzmu, lecz ochrony bałkańskiego sprzymierzeńca. Innymi słowy chodzi o politykę imperialistyczną. Nie do zniesienia, głupią, zbrodniczą, gdyż imperialistyczną. Wydaje mi się jednak zbyt arbitralnym widzieć w tym działalność faszystowską. Pamiętajcie o tym, że wpływ i siły Partii Komunistycznej są bliskie zera, pamiętajcie, że nie ma tu proletariatu, i że 140 milionów Amerykan ma psychikę drobnomieszczańską. Pamiętajcie, że syndykaty nie myślą o reformach, a zagadnienia społeczne są tylko przedmiotem handlu".

„...komunizmu boi się głównie Departament Stanu..."

„...jeśli chodzi o szarego człowieka, to bez względu na to czy jest on piśmienny, czy niepiśmienny, czy zamieszkuje New York, lub Texas City, odrzuca on komunizm z dwóch powodów: 1) ponieważ jest doktryną, 2) ponieważ pochodzi z Europy. Faszyzm jest również doktryną w dodatku pozbawioną humoru, ...nie należy nigdy wyciągać wniosków o myśli, czy opinii amerykańskiej na podstawie czytania gazet wszystko jedno czy zależnych czy niezależnych. Ludzie kupują ogromne ilości drukowanego papieru. Czytają strony sportowe, potem komiczne rysunki, dalej tytuły informacji politycznych. Ale nigdy artykułów wstępnych, nigdy. Dlatego Roosevelt był wybrany trzy razy, mimo, że cała prasa sfederowała się przeciw niemu".

„...dlaczego odrzucać słowo „amerykanizm". Być może, zawiera ono rzeczywistość gorszą niż wszystkie faszyzmy: ignorancje, jałowość, sekciarstwo. Jego przejawy są podobne do pierwotnego faszyzmu, to prawda. Ale pamiętać należy, że lud ten jest „faszystowski" od 150 lat. Zetrzyjcie przedrostek „neo" i starajcie się sobie wyobrazić faszyzm bez policyjnego przymusu, bez prześladowań, mistyki i paszportów".

ŻYCIE KATOLICKIE

— 2, 3 i 4 marca miało miejsce zebranie kardynałów i arcybiskupów Francji.

— Pisarz amerykański, Henry Miller wydał książkę o Europie i Francji. Miller pisze między innymi: „nie martwię się nigdy o Francję. Zaniepokojenie o Francję, byłoby niepokojem o Ziemię". Zastanawiając się nad katolicyzmem francuskim, Miller czyni następującą uwagę: „siłą Francji jest to, że wychowuje katolików K a t o l i c k i c h. Nawet ze swych ateistów uczyniła ona „katolików" we właściwym znaczeniu tego słowa.

— W Lyonie odbywają się corocznie (w bieżącym roku 57 z rzędu) przedstawienie pasyjne, organizowane i wystawione przez robotników.

— Akademia Francuska przyznała swój wielki złoty medal, Ojcu św. Piusowi XII.

KARDYNAŁ PETIT DE JULLEVILLE

Kardynał Pierre Petit de Julleville, arcybiskup Rouen zmarł 10 grudnia ub. roku. Była to jedna z najwybitniejszych postaci Kościoła Francuskiego. Święcenia kapłańskie otrzymał w r. 1903, konsekrowany jako biskup Dijon w r. 1927. W roku 1936 otrzymał nominację na arcybiskupa Rouen. Na pierwszym powojennym konsystorzu Ojciec św. przyjął go do Kolegium, jako kardynała prezbitera.

NAGRODY LITERACKIE

Prix Femina — została przyznana autorce kanadyjskiej Gabrielle Roy, za książkę „Bonheur d'occasion".

Prix Goncourt — otrzymał Jean Lois Curtis za „Les Forets des Nuits".

Prix Interallie — Pierre Daninos za „le Carnet du bon Dieu".

Prix Paul Pelliot — ufundowana przez prasę uniwersytecką w celu uczczenia pamięci profesora College de France, przyznano Piotrowi Gouron za pracę o krajach tropikalnych i dominikaninowi Ojcu Festuqiere za dzieło „Epikur i jego bogowie.

Prix Denyse Clairouin, — przyznano za najlepszy przekład otrzymał Pierre Leyris za „Poematy" T. S. Elliot.

BAYA.

Galeria Naeght w Paryżu wystawiła prace malarskie nowego wielkiego talentu małej 14-letniej mieszkanki Algieru — Baya. Baya była boną u pewnego malarza mieszkającego w pobliżu Algieru. Pewnego dnia malarz wraz z żoną wyjechali w podróż i pozostawili Bayę, aby pilnowała mieszkania. Powróciwszy po trzydniowej nieobecności, zastali wszystkie ściany pokryte rysunkami i szkicami. Malarz nie wpadł w gniew, lecz zajął się dziewczynką i urządził jej wystawę w Paryżu.

J. H.

Jak tancznica której wyłupiono oczy

W poprzednim swoim felietonie p. t. „Londyniszcze" umyślnie wskazywałem na najbardziej zewnętrzne cechy Anglików. Dziś odwrotnie: chciałbym sięgnąć do rzeczy najgłębszych.

Język. Dlaczego język angielski jest tak obrzydliwy? Sądzę że na to składają się dwa czynniki. Przyrodzona, że się tak wyrażę, brzydota jego fonetyki, sprawiająca, że mowa angielska przypomina nam ujadanie kundla, oraz ubóstwo form gramatycznych. Łacina, której fonetyki nie znamy, jest językiem pięknym i mądrym właśnie dlatego, że ma tak rozbudowane, tak bogate formy gramatyczne. Po opanowaniu Rzymu przez barbarzyńców, łacina się zwulgaryzowała, z języka przysposobionego do wyrażania wszelkich subtelności myślowych stała się gwarą potrzebną tylko do wyrażania najbardziej prymitywnych potrzeb ludzkich. „Jeść, jeść — pić, pić" woła dzikus i nic go bogactwo form gramatycznych nie obchodzi. Nie jestem gramatykiem, ani filologiem, ale zachwycałem się kiedyś studiami opisującymi, jak z bogatego, rozgałęzionego w swych formach języka łacińskiego powstawały barbarzyńskie języki wulgarne. Na szczęście jednak, na formy gramatyczne nowopowstałych języków, łacina wciąż miała wpływ decydujący. Język angielski natomiast jest bodaj ze wszystkich języków europejskich najuboższym pod względem form gramatycznych. Nietylko łacina, ale np. język polski to bogaty pan w kontuszu i żupanie, w pasie, przy karabeli i z czapką z kitą podczas, gdy język angielski pod tym względem to goły murzyn, co najmniej z kawałkiem ścierki. Ale poza swoim ubóstwem gramatycznym język angielski to w ogóle nie język, lecz zaledwie żargon, tylko żargon, który zrobił wspaniałą karierę, jak o tem zaraz mówić będziemy.

Właściwościami języka jest przynależność do jakiejś rasy językowej, do jakiejś rodziny, jakiegoś gatunku oraz posiadanie pisowni. Język angielski nie może się wylegitymować ani jednym, ani drugim. Jest mieszańcem, kundlem, bastardem, jest żargonem tego typu, które powstają w wielkich portach świata, w których słowa pochodzenia niemieckiego przeplatane są wyrazami francuskiemi, hiszpańskiemi, arabskiemi i murzyńskiemi. Język angielski nie wyrósł z jednego pnia, jak języki dobrze urodzone, lecz jest zlewem słów germańskich, francuskich z niewielką ilością nawet celtyckich. Poza tem jest to język bez pisowni, o ile za pisownię będziemy uważać dążenie do zafiksowania pewnych dźwięków fonetycznych za pomocą znaków pisemnych. W Anglii od czasu do czasu ktoś proponuje wprowadzenie pisowni fonetycznej, ale inicjatywy te nie mają żadnego oddźwięku, uważane są za pomysły dziwaków i Anglik nadal pisze po francusku, a wymawia specyficznie i w ten sposób nikt nie jest w stanie nauczyć się mówić po angielsku, posługując się wyłącznie słowem drukowanym.

Ale ten żargon, jak powiedziałem zrobił wspaniałą karierę. Ubóstwo form gramatycznych zastąpił bogactwem wyrazów, pojęć, odcieni, jest to język doskonale nadający się do sloganów, haseł, dziennikarstwa, handlu. Wreszcie w żargonie tym powstała przepiękna literatura, dał on światu Szekspira, Byrona, Dickensa, Kiplinga. Stał się wreszcie od 1918 roku językiem dyplomatycznym. Wygrał więc wyścig z mądrą łaciną, przepięknym hiszpańskim, precyzyjnym, żywym i dystyngowanym francuskim. Ale pozostał tym czem był: brzydotą pomiędzy językami. Kiedy myślę o tych wyścigach, które angielski wygrał, mam przykry obraz szybkobiegaczy, których przegania kaleka, kulas. Człowiek kulawy zwyciężający w biegach może imponować, ale nie będzie to widowisko estetyczne.

Brzydota angielskiego nie zaszkodziła więc pięknu literatury angielskiej. Ale czasem sobie myślę, czy ta potworna brzydota tego języka nie jest tą najgłębszą z przyczyn, dlaczego Anglicy tak nie mają smaku i gustu w innych dziedzinach sztuki, w architekturze przede wszystkim, a potem w malarstwie, rzeźbie, muzyce...

Religia. O kraj to jest głęboko protestancki. Dziecko polskie dowiaduje się, że religię dla Anglików założył król, który poza tym zajmował się mordowaniem swoich żon, jest oczywiście zgorszone. Ale już w średniowieczu kler i naród angielski najmniej chętnie znosili autorytet papieża, poza tym ojcem reformacji nie był ani Luter, ani Hus, lecz właśnie Wiclef, Anglik z XIV wieku — Henryk VIII postawił tylko kropkę nad i w tym procesie historycznym. „Los von Rom" to niewątpliwie wynalazek angielski i on jest tutaj daleko silniejszy i daleko głębszy, aniżeli gdziekolwiek indziej, chociażby dlatego, że mimo wszystko nie jest to proces zakończony. Już czterysta lat minęło, jak Anglia stała się protestancką, a jednak dotychczas podział kierunków wewnątrz samego kościoła anglikańskiego, uzależniony jest od stosunku tych kierunków do Kościoła rzymskiego. Kościół oficjalny anglikański dzieli się bowiem na trzy szkoły, czy kierunki, na anglikański Kościół katolicki, na Wysoki Kościół i Niski Kościół. Pierwszy z tych kierunków najbliższy jest katolicyzmowi, trzeci najbliższy protestantyzmowi. Religia Anglików przesądza o ich sympatiach politycznych. Weźmy trzy narody: Finnów, Rosjan i Polaków. Anglicy będą mieli największe sympatii do Finnów, jako do protestantów, potem do Rosjan, jako do anty-papistów a najgorzej będą notowani Polacy, właśnie dlatego, że są „semper fidelis". Dlaczego w Anglii jest tyle sympatii do Czechów, a tak zajadła jest tu antypatia do Polaków. Składa się na to wiele przyczyn, między innymi to, że Czesi są uważani za trzeźwych kupców, a my za bezrobotnych Don Kichotów, ale najgłębszą z tych przyczyn jest właśnie ta, że Czesi mieli swe kilkadziesiąt lat reformacji, że Hus był uczniem Wiclefa, a Polacy są uważani za papistów. W sympatiach Anglików do narodów europejskich kwestja wyznania odgrywa rolę decydującą. Naprawdę szanowane są tutaj tylko narody protestanckie: Holendrzy, Skandynawowie, Niemcy, a zwłaszcza Prusacy... Trudno — prawda jest prawdą, pomimo wojen.

Antoni Trepiński

KSIĄŻKI NIEDOCENIANE

Gawęda literacka

Książki niedoceniane, to dzieła bibliograficzne, encyklopedyczne, leksykalne, antologiczne — prace podręczne i przewodnikowe — pochłaniające mnóstwo czasu i wysiłku autora i wydawcy.

Dzieła takie nie cieszą się na naszej szerokości geograficznej dostatecznym uznaniem. Nie są stawiane na honorowych miejscach we wszystkich księgozbiorach publicznych i pracowniach naukowych, jak na to zasługują. Nie są otaczane powszechną opieką społeczeństwa, chociaż bez tego oparcia obejść się nie mogą, jako przedsięwzięcia nierzadko deficytowe.

Książki niedoceniane — to te, które zdumiewają po cichu mrówczą pracą, benedyktyńską cierpliwością i żelazną wytrwałością autorów lub redaktorów; zawierają zarazem ogrom i trudów odkrywczych, kolekcjonerskich oraz organizacyjnych — zupełnie nieopłacalnych. Te, nad którymi twórcy siedzą długie lata, niekiedy całe życie, nie szczędząc sił i samozaparcia dla dobra ogółu. Te, które wymagają od swoich autorów częściowo działań pionierskich i przez to stają się niewdzięczne.

Skutkiem tego „Polski słownik biograficzny" zaspokajający pilną potrzebę nauki polskiej, liczy znikomą liczbę abonentów. Wobec tego też mało gdzie w redakcjach pracownik ma pod ręką „Słownik ortoepiczny" Szobera, „Dobór wyrazów" Zawilińskiego, „Słownik geograficzny" Maliszewskiego i Olszewicza, „Literaturę polską" Korbuta, czy „Encyklopedię staropolską" Brücknera. Wobec tego mało kto zagląda do „Słownika pseudonimów i kryptonimów polskich" Bara, jeśli nawet słyszał o istnieniu jego 3 tomów. Rzadko też w mieszkaniu literata polskiego znajduje się „Słownik języka polskiego" Lindego, albo „Słownik języka polskiego" w 8 tomach, zwany Słownikiem warszawskim. A iluż polonistów posiada w swoich księgozbiorach komplet „Stu lat myśli polskiej"?

Nie oczekiwano szerokiego pokupu bardzo ważnych i ogromnie potrzebnych dzieł, kiedy przed kilkudziesięciu laty drukowano tomy I — VI „Bibliografii polskiej" Karola Estreichera w nakładzie zaledwie 300 egzemplarzy, albo „Słownik gwar polskich" Karłowicza i „Księgę przysłów" Adalberga po 500 egzemplarzy (dodatkowo 20 na papierze welinowym). Do dnia dzisiejszego nie ceni się u nas dość wysoko ideowo ani materialnie „Encyklopedii wojskowej" (7 tomów do roku 1939), ani najlepszej encyklopedii polskiej, tak mało znanej „Wielkiej powszechnej encyklopedii ilustrowanej" S. Sikorskiego (urwanej na literze P. 55 tomów do r. 1914).

Wprawdzie nie ma się co w handlu dopytywać o „Słownik malarzów polskich" Rastawieckiego, „Pamiętnik Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych" Świeykowskiego, „Budownictwo drzewne" Glogera, „Słownik synonimów" ks. biskupa Krasińskiego, czy „Panteon polski" Chmielowskiego. Gdyby nawet poszukiwać u antykwarzy tych arcypożytecznych dzieł, to okazje do kupna zdarzają się niezmiernie rzadko. Zamawiający może się ich doczekać nieomal że tylko pośmiertnie. W księgozbiorach prywatnych te okazy antykwaryczne należą do nadzwyczajnych wyjątków. Najcenniejsze książki praktyczne, najbardziej potrzebne do użytku podręcznego — zalicza się w naszym kraju nieledwie do.. unikatów.

Jeszcze jeden dosadny przykład: w roku 1936 wychodzić zaczął nakładem Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego „Słownik geograficzny państwa polskiego i ziem historycznie z Polską związanych", zakrojony na wielką skalę. Do czasu wojny wydano tom poświęcony Pomorzu i Prusom Wschodnim. Wspaniałe wydawnictwo informacyjne, zastępujące całą szafę literatury. Winno było znaleźć szerokie rozpowszechnienie drogą subskrypcji we wszystkich bibliotekach publicznych, urzędowych, samorządowych i szkolnych, nie mówiąc już o nabywcach prywatnych, którzy byli przed wojną w Polsce podstawą rozpowszechniania wszelkich wydawnictw encyklopedycznych. Jednak nowy Słownik geograficzny rozchodził się wśród społeczeństwa w ilościach tak znikomych, że po spaleniu się części nakładu w roku 1939 jest rzadkością godną nazwy białego kruka. Paradoksalne! Zdarza się dziś w jakimś księgozbiorze prywatnym znacznie częściej wielki „Słownik geograficzny Królestwa Polskiego" Chlebowskiego, w 16 tomach, aniżeli ten tom pomorski z okresu 20-lecia.

Dzieje się tak m. in. z powodu niedostatecznego w góle ocenienia prac współziomków, poświęcających swe siły na opracowywanie dzieł, niosących społeczeństwu doniosłe usługi naukowo - informacyjne. Powiedział Norwid: „Tylko narody trzeźwe umieją oceniać — inne adorować lub bezcześcić". Więc adoruje się Samuela Bogumiła Lindego w 100 lat po śmierci, natomiast za życia czyniono mu — egzystencję różnymi dokuczliwościami tak nieznośną, że zasłużony oragnizator szkolnictwa polskiego w Królestwie, długoletni dyrektor liceum warszawskiego i wybitny uczony spożywał gorzki chleb z zakalcem. Torunianin lubił pod koniec życia podkreślać ostentacyjnie swe niemieckie pochodzenie, nie spolszczył się, lecz stał się narodowo obojętnym. Gdyby nie zrozumienie dla pracy i wydatna pomoc finansowa ze strony jednostek, głównie Józefa Maksymiliana Ossolińskiego, ani pierwsze, ani drugie wydanie słownika nie ujrzałoby nigdy światła dziennego.

Czynne i życzliwe poparcie mrówczych prac ludzi nauki czyni cuda, niezrozumienie społeczeństwa mści się niepowetowanymi szkodami. Zamiast zapewniać t.zw. tytanom najdalej idącą pomoc materialną i moralną, przysparzać serdecznego ciepła „serc narodu", jako tym co pracują za sto osób, skazuje się ich na samotność i odosobnienie. Niesłusznie osnuwa się legendą dziwaków ludzi tego typu co Joachim Lelewel, Oskar Kolberg, Józef Ignacy Kraszewski, Karol Estreicher. Nie potrzeba ich wspaniałego dzieła w ogóle podziwiać bez właściwej jego znajomości i odnoszenia z niego korzyści. Nie godzi się przypominać ich kapitalnych dzieł jedynie uroczyście w rocznicę zgonu autora, zamiast przywiązywać znaczenie na codzień do ciągłych korzyści płynących z „pracowitych żywotów".. Nie ma co wyprawiać hucznie bankietów, póki żyją, jak Kraszewskiemu (w Sukiennicach krakowskich w r. 1880), a zostawiać niegodnie w nędzy w przytułkach, jak Lelewela i Norwida, i w opuszczeniu jak po tym tegoż Kraszewskiego. Nie potrzeba składać odświętnych hołdów jubilatom, którzy na zapytanie: „A co panu podobało się w moich rzeczach?" otrzymują odpowiedź: „Właściwie to jeszcze nic nie przestudiowałem".

To nie znaczy, że w każdym polskim domu powinno być zaraz 37 tomów Bibliografii Estreicherów, egzemplarz Lindego w oprawie z baraniej skóry, cały stos „Polski, dziejów i rzeczy jej" Lelewela, albo pół tysiąca woluminów Kleofasa Fakunda Pasternaka i Bolesławity, czyli Kraszewskiego. Wystarcza rzetelna ocena wysiłków zasłużonych autorów i szerzenie prawdziwej znajomości zasług.

Dzieła należące do podręcznych bibliotek naukowych, ustalające nowe podstawy gałęzi wiedzy, zestawiające metodycznie materiały, albo po prostu komasujące archiwa do zagadnień, zasługują na nagrody naukowe i literackie więcej niż niejeden okrzyczany opus blednący po upływie czterech i pół roku. Podnosić trzeba znaczenie tego rodzaju dzieł niedocenianych, ułatwiać im życiową drogę. Nie zabijać ich zawiścią ludzką! Odnosić się z pietyzmem do celowej pracy, podyktowanej czystą służbą społeczną, ze zrozumieniem dla intencji i poszanowaniem dla najprostszych dążeń do prawdy naukowej.

Jeżeli dzieło Estreicherów zawiera nawet nie dziesięć, ale tysiąc nieścisłości, to nie przestanie być nigdy pomnikowym. Jeśli na olbrzymią twórczość Kraszewskiego przypada nie kilkadziesiąt, ale więcej niż połowa słabych rzeczy, nie przestanie on być pisarzem zajmującym, godnym chwały i nieśmiertelności, czyli czytania. Jeśli nie odczuwa się dziś braku folklorysty, i ktoś wydaje już umiejętniej i lepiej materiały folklorystyczne niż Zygmunt Gloger, to nie wolno bynajmniej przekreślać jego doniosłej, o ileż trudniejszej działalności pionierskiej. Naukowcy zwracają nieraz szeptem uwagę na przerosty fantastyki naukowej, niedokładności i różne bałamuctwa u Brücknera, ale któż mu dorównywa jednocześnie erudycją prawdziwą? Kto idzie w jego ślady podejmowaniem pierwszorzędnych zadań naukowych, zamiast bawienia się drobiazgami, tematami pięcio- i dziesięciorzędnymi, ślepo wedle niemieckiej zasady: „In der Beschränkung zeigt sich der Meister?"

Warto tu przypomnieć następującą historyjkę z życia naukowego w Polsce: W roku 1928 ukazała się drukiem, nakładem Tow. Miłośników Historii w Warszawie, Edwarda Maliszewskiego „Bibliografia pamiętników polskich i Polski dotyczących (druki i rękopisy)". Z zasiłkiem Ministerstwa Oświaty. Stron 447 + X + 5 nlb, in quarto.

Praca wysoce wartościowa, źródło naukowo - pomocnicze niepospolite, niezastąpione w zakresie swej tematyki. Jak każda opracowana sumiennie bibliografia — klucz niezbędny na polu piśmiennictwa, zawartego w publikacjach książkowych i rozproszonego po czasopismach, dla specjalistów i laików, profanów i uczniów, bibliotekarzy i wszelkich poszukiwaczy wskazówek w świecie książkowym.

Autor strawił nad nią oczywiście lata. Namozolił się setnie. Zasięgał, jak to zwykle przy pracach tego typu bywa, rad i pomocy osób, znających się na rzeczy. Złożył w każdym razie dowody ogromnej pracowitości i dokładności, wielkiego zamiłowania do przedmiotu i niebylejakiej fachowości.

I cóż się dzieje? Wyrocznia w sprawach naukowo - historycznych „Kwartalnik Historyczny" gilotynuje autora „Bibliografii pamiętników" zjadliwą, druzgocącą recenzją (1929, II, str. 359—372).

„Autor nie podołał swemu zadaniu i dał nam książkę mało użyteczną i do której nie mamy zaufania wobec plątaniny w nazwiskach autorów i wobec wielkich braków i luk". „Do pracy omawianej nie możemy odnosić się z takim zaufaniem jak do bibliografii Finkla". „Są niedokładności..." „Brak znajomości i oczytania w treści pamiętników".. „Autor zapewne korzystał z bibliotek warszawskich. Otóż gdybyśmy wiedzieli, że z bibliotek, a nie z drukowanych bibliografii, doszlibyśmy do wniosku, że tamtejsze biblioteki nie są kompletne w pamiętnikarstwie polskim. Myślimy, że tak źle nie jest. Przeciwnie autor nie robił tam poszukiwań". „Co do rękopisów, to autor ograniczył się tylko do zbiorów warszawskich, wobec tego o tej części jego książki nie ma co rozprawiać".

Tak pisze jeden specjalista o drugim, nie godzien mu może trzewików zasznurować. Nie mógł już na to odpowiedzieć Maliszewski, bo zeszedł krótko przedtem ze świata, pełnego koleżeńskiej zawiści, wyczerpany niewdzięczną pracą.

Upomniał się jednak o niego Ludwik Finkel (polemika, ibidem. str. 608—616). „Recenzja wprowadza zamęt pojęć, krzywdzi zmarłego wybitnego bibliografa, jest wytworem jakiejś autosugestii jej autora... przykra w tonie i niewłaściwa w ujęciu"... Prawdopodobnie Maliszewski dotknął przedmiotu, który apodyktyczny krytyk uznał za swoją domenę i stąd wynikło osobiste uprzedzenie. Upomniała się także o przychylny stosunek do dzieła i autora bibliotekarka Halina Bachulska: „Czytając tę recenzję odnosi się wrażenie, że pisał ją ktoś zupełnie nie zdający sobie sprawy z ogromu pracy bibliograficznej, ktoś kto miał na celu jakgdyby z pobudek osobistej niechęci obniżenie wartości dokonanego dzieła". „Żałować należy, że recenzent zainteresował się Bibliografią Maliszewskiego pod tak nieprzychylnym kątem widzenia. Przy życzliwszym stosunku dałby prawdopodobnie szereg uwag fachowych, z których można by chętnie skorzystać."

Maliszewski, wbrew twierdzeniu recenzenta, nie ograniczył się bynaj-

(Dokończenie na str. 10)

---

pomimo Hitlera, pomimo wszystko, Niemcy cieszą się tu szacunkiem o wiele większym od Francuzów. Natomiast narody ultra katolickie jak Włosi, Hiszpanie, Polacy są bardzo nielubiani. Zwłaszcza Włosi, do których niechęć ma wyraźne cechy pogardy. Ze wszystkich narodów romańskich najmniej pogardy, najwięcej szacunku wyczuwa się tutaj w stosunku do Hiszpanów, ale też może „najwięcej nienawiści. Bo rozeznać się w sympatiach Anglików nie można tak łatwo bez podręcznika historii. Tutaj nie jest tak, jak w innych krajach Europy, gdzie ten czynnik historyczny odgrywa rolę przy pisaniu artykułów, czy poezji, ale nie w życiu codziennym. Tutaj jednak Hiszpanom ciągle pamiętają, że to kiedyś był główny wróg i główny konkurent. A dzisiaj zresztą... są przecież tylko dwie Ameryki, jedna mniej więcej angielska, druga mniej więcej hiszpańska.

Ale wracając do protestantyzmu w Anglii trzeba jeszcze zauważyć, że dziś przeżywa on wielki kryzys. Bogate kościoły oficjalne pustoszeją i non-konformiści głośno zarzucają anglikanom, że fałszują statystyki swych wyznawców, że uważają za swoich wiernych ludzi, którzy nie praktykują. Poza tym wzrost nawróconych na katolicyzm jest ogromny. Wciąż poznaję kogoś kto albo od kilku miesięcy nawrócił się na katolicyzm, albo znajduje się w stanie wyrabiania w sobie decyzji co do zmiany wyznania. Ten ogromny przypływ katechumenów do kościoła katolickiego w Anglii jest jedną z najciekawszych rzeczy i najbardziej potrzebnych dla zrozumienia Anglików. Taki Anglik-katolik traci coś jednak ze swych praw angielskich, staje się jednak przynajmniej w kilku lub kilkunastu procentach renegatem narodowym, emigrantem z własnego społeczeństwa. A jak nietolerancyjni są ci katolicy angielscy. Na jakiegoś 3 maja była uroczystość w protestanckiej katedrze św. Pawła. Mówię oczywiście o czasach wojny, kiedy w obronie Anglii walczyło tylu Polaków i kiedy manifestacje propolskie były dość częste. Uroczystość była na cześć Polski, był król. Churchill itd. Zarząd katedry zapytał Sikorskiego czy hymnu polskiego podczas nabożeństwa nie może wykonać polska orkiestra wojskowa. Sikorski oczywiście wysłał taką orkiestrę. I oto powstała niebywała burza wśród publicystów katolickich. „Jakto! — wołali — jesteście katolikami czy nie. A jeżeli jesteście to jak możecie się zgodzić, aby żołnierze wasi brali udział w nabożeństwie heretyckiem". Sprawa ta miała bardzo poważne później skutki.

Poza tym nie trzeba myśleć, aby ten katolicyzm angielski był podobny do naszego. Oto przykład felietonowy, ale moim zdaniem poruszający właściwe strony. Chciałem sprawdzić kim była święta Irena i w „British Museum" sięgnąłem po angielską encyklopedię katolicką. Szereg wspaniałych tomów, uwzględniających wyłącznie sprawy związane z katolicyzmem — wyobrażałem sobie naiwnie, że dział hagiografii musi tam być uwzględniony. Zdziwiłem się bardzo, gdy pod wyrazem Irena nic w ogóle nie znalazłem. Obok stała encyklopedia hiszpańska, barcelońska, o wyraźnym posmaku masońskim i w masońskich czasach układana. Znalazłem tam obszerne życiorysy bodajże siedmiu świętych Iren. Anegdota ta zasługuje na refleksje. Katolicyzm bez hagiografii, bez żywotów świętych — czy coś podobnego nie może pomieścić się w głowie Polaka, który nigdy nie był katolickim katechumenem, ale za to był katolikiem od urodzenia. Katolicyzm angielski to jakiś katolicyzm odbarwiony, odkolorowany. Nie darmo w kontrreformacji grało tyle momentów artystycznych, ten zgiełk wspaniały rzeźb, ta gama najwspanialszych kolorów. Protestantyzm — teraz pozwólcie mnie z kolei być nietolerancyjnym — to rzecz brzydka, jak język angielski, to nuda, jak sama Anglia. Chodzę tu po wspaniałych katedrach angielskich w Lincoln, w Wells, w Canterbury, budowanych jeszcze przez królów z dynastii francuskiej, wtedy gdy za mówienie po angielsku przy dworze ucinano Anglikowi głowę toporem. Katedry są cudowne, ale wyniesiono z nich katolicyzm i są dziś, jak tanecznica, której wyłupiono oczy. Kościoły bez duszy.

Trzeci czynnik najgłębszy w tym kraju, to rządność tego narodu. Tutaj znów nie mam dostatecznych słów do zachwytu. Wolę z pokojówką angielską rozmawiać o polityce zagranicznej, aniżeli z polskim dziennikarzem. Prawo! Dopiero po długim pobycie w tym kraju zrozumiałem, że przestrzeganie prawa formalnego nie jest jeszcze wszystkim, że ponad praworządnością, która się słusznie wysoko ceni jest jeszcze coś lepszego, a mianowicie sama rządność. Anglicy mają genialną zdolność do rządów. Ale o tem w specjalnym artykule, bo to temat zbyt obszerny.

W kraju...

WYBORY OKRĘGOWE DO ZNP.

Od szeregu tygodni są przeprowadzane wybory do wojewódzkich zarządów Związku Nauczycielstwa Polskiego. „Glos Ludu" podał nie dawno tabelkę obrazującą wyniki wyborów w sześciu okręgach, a mianowicie: w Olsztynie, Gdańsku, Rzeszowie, Kielcach, Łodzi i Poznaniu. Sumując poszczególne dane cyfrowo otrzymujemy taki oto obraz wpływów partyj politycznych w cytowanych okręgach:

Polska Partia Socjalistyczna — 21 mandatów. Polska Partia Robotnicza — 20 mandatów, Stronnictwo Ludowe — 14 mandatów, BEZPARTYJNI — 9 mandatów, Stronnictwo Demokratyczne — 5 mandatów, Polskie Stronnictwo Ludowe — 1 mandat.

AMERICAN RELIEF FOR POLAND

Delegatura Rady Polonii Amerykańskiej (American Relief for Poland) ogłosiła sprawozdanie ze swej dwuletniej z górą działalności na terenie naszego kraju. Cyfry podane przez ARP są doprawdy imponujące i świadczą najwymowniej o głębokim wczuciu się naszych Rodaków z USA w ogrom potrzeb wyniszczonego wojną społeczeństwa polskiego.

Pierwszy okręt wiozący dary amerykańskie zawinął do portu 12 stycznia 1946 r. Od tego czasu, w ciągu dwu lat przyszły transporty na 32 statkach, wioząc dary od odzieży począwszy na samochodach ciężarowych kończąc — o ogólnej wartości 5.413.525.459 zł. Jeżeli do tego dodamy wartość inwentarza szpitala ruchomego im. I. Paderewskiego oszacowanego w 1946 r. na 750 milionów złotych otrzymamy wkład naszej emigracji na łączną sumę z górą sześciu miliardów złotych.

Rozprowadzanie darów odbyło się zasadniczo za pośrednictwem polskich organizacyj charytatywnych. Cyfry podane przez ARP rzucają nie kiedy ciekawe światło na stopień zasięgu i działalność poszczególnych organizacyj typu Caritas, CKOS, czy RTPD. Okazuje się, że prym bezwzględny dzierży tu Caritas. Na innym miejscu drukujemy zestawienie potwierdzające tę tezę.

W programie pomocy na rok 1948 została uwzględniona tak ważna pozycja jak medykamenty. Potrzeba nam zwłaszcza preparatów witaminowych i wszelkich środków leczniczych, przy pomocy których można by zwalczać szerzące się wprost katastrofalnie choroby weneryczne i gruźlicę. Niestety program pomocy w roku bieżącym nie przewiduje ksiąg żek. Ten poważny brak musi wywołać w społeczeństwie polskim zrozumiały smutek, gdyż automatycznie odpada poważna szansa kontaktu, zwłaszcza kolosalnym postępom wiedzy, jaki dokonał się w Ameryce w czasie, gdy Europa stała w ogniu.

Pisząc o zbawiennych dla społeczeństwa rezultatach akcji reliefowej Polonii — niesposób pominąć sprawę, która łączy się ściśle z pomocą w sensie negatywnego na nią wpływu. Chodzi mianowicie o propagandę szerzoną na łamach prasy amerykańskiej przez „nieprzejednanych", którzy przedstawiając karykaturalnie polską rzeczywistość chcąc nie chcąc oddziaływują na ograniczenie reliefu.

WYROK W PROCESIE NSZ.

2 marca Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie ogłosił wyrok w procesie członków OP i NSZ: Stanisław Kasznica i Lech Neyman zostali skazani na karę śmierci. Mieczysław Paszkiewicz — 15 lat więzienia, Stefania Żelazowska - Sokołowska — 10 lat, Wanda Salska — 10 lat, Andrzej Jastrzębski — 7 lat. Jastrzębskiemu karę złagodzono o połowę na podstawie ustawy amnestyjnej. Wszystkim skazanym przysługuje prawo apelacji do Najwyższego Trybunału Wojskowego oraz możność ubiegania się o łaskę Prezydenta R. P.

Zygmunt Jakimiak

O PRAWDZIWIE KATOLICKĄ

(polemika

Ostatnio bardzo mało czytam nie tylko prasy, ale i literatury dzisiejszej. Po prostu wstydziłbym się wyliczyć ile i jak często czytam. Jednakże dochodzę do wniosku, że i to skromne quantum lektury jest za dużą dawką, bo prawie z każdym przeczytanym artykułem, a nawet zdaniem mam odrazu ochotę polemizować. A nastrój polemiczny, wywołany dziesiątkiem twierdzeń i tez, nie sprzyja skupieniu na jednym jakimś ważnym przedmiocie. Toteż staram się czytać jak najmniej, z tego powodu, że nie prędko będę miał własne pismo polemiczne. Oczywiście jest to zwyczaj najściślej indywidualny i nie jestem jego apostołem.

Czasem jednak coś przeczytam i nie mogę wytrzymać. Tak było w wypadku „Recenzji Nieliterackiej" p. M. Kurzyny w „Dziś i Jutro" z 8.II. b. r. Recenzja ta, jak to powinno być wiadome, omawia nowy tomik Żukrowskiego p. t. „Piórkiem Flaminga". Autor recenzji oddaje wielki hołd autorowi nowelek, rozumie jego postawę artystyczną, tłumaczy ją i w ogóle wykazuje wobec niego wiele szacunku, uznania i podziwu.

Uczuć tych nie zamierzam podważać, ani krytykować. Pietyzm wobec tak rzadkiego dziś zjawiska, jak dobry, młody, świeży i nieźle kierowany talent literacki, jest godny szacunku. Osobiście jednak zachowuję wobec Żukrowskiego postawę wyczekującą. Uważam go, za nic więcej, niż jest w rzeczywistości: za świetny, młody talent. Nie jest to dużo. Widzieliśmy masy młodych, świetnych talentów, które tylko na takiej świetności kończyły. Żeby nie przypominać dawnych czasów (Laskowski, Słoński) mamy i dzisiaj przykłady talentów, które pozostały niespełnioną obietnicą. Gałczyński, Tuwim... prawie każdy znany dziś poeta, czy pisarz, albo pozostał na poziomie swych pierwocin, albo spadł nawet niżej. Rzadko który się podniósł (Staff). Dlaczego? Bo ich od razu chwalono, szanowano, rozumiano. Wystarczy jedna ogólnie przychylna krytyka jednej książeczki, żeby zepsuć pisarza. Obiecującymi młodzieńcami wybrukowane w Polsce każde piśmo, ale prawie z reguły pozostają oni obiecującymi młodzieńcami. Talent to nic. Ważne jest tylko, co się z niego zrobi, czy, w jakim kierunku i duchu się rozwinie. I wszelka krytyka, jeśli ma być pożyteczna nie tylko dla kasowości i płytkiego uznania, ale dla rzetelnego rozwoju talentu, najlepiej robi, jeśli mu leje na głowę, rozpaloną zadowoleniem z własnej twórczości, kubły zimnej wody. Wtedy dopiero obiecujący młodzieniec bierze się do pracy i talent, który jako niezasłużony, nic nie znaczy, staje się cenny dla pokory i trudu jego właściciela.

Ja sam bynajmniej takiego zadania tutaj nie podejmuję. Za mało cenię tego rodzaju literaturę, która dziś jest zjawiskiem powszechnym. Cóż — kilka nowelek, które choć z ciekawością się przeczyta, to już jutro się zapomni. Nie ma o co robić krzyku. Żukrowski napisał pięknie, Pruszyński jeszcze piękniej, ale to i koniec. O czym tu gadać? Wszelako to, co p. Kurzyna pisze, to już jest poważne, bo to jest publicystyka, która uczy wprost, a nie przez przypowieści. I tu będę polemizował z p. Kurzyną, nie z Żukrowskim, który, jeśli i coś oberwie, to tylko przy okazji jako osoba trzecia. Dwie rzeczy mnie uderzyły w recenzji.

Pierwsza to pogarda dla przeciętnego katolika, zawarta w opowiadaniu „Tajemnice Watykanu". Pogarda ta oznacza dla p. Kurzyny pragnienie świętości. Wiśniewski jest wyszydzony, a z nim stowarzyszenie katolickie, ojcowie rodzin katolickich. „Nie ulega żadnej wątpliwości — pisze p. Kurzyna — że przestroga należy się także katolikom, tym wszystkim, którzy się kryją poza mury kościoła w chwilach trudnych i wymagających walki osobistej". Z lubością cytuje p. Kurzyna: dla Wiśniewskiego „religia była tą samą formą asekuracji, co książeczka P. K. O." Tacy katolicy są dla Żukrowskiego, a i dla p. Kurzyny obcy, niezdolni do niepokoju. Zdaniem recenzenta, ważnym celem opowiadania było „pokazanie nicości takich katolików".

I tu jest problem, kapitalny problem. O dobrej woli i szczerości Żukrowskiego nie możemy wątpić. Takie postaci, jak O Paweł, ks. Czesław, jakby jedno i drugie skrzydło katolików prawych wymagało może kontrastu dla względów literackich i stąd Wiśniewski. Ale o ile nawet tamci bohaterzy nie są pokazani w pełni swej wielkości i życia, o tyle Wiśniewski jest postacią przesadzoną, bo wymyśloną. Żukrowski wierzy, że on jest rzeczywisty, na pewno podobnych obserwował, a mimo to jest to postać papierowa, fikcyjna. Pragnienie świętości nigdy nie wyraża się pogardą innych, ale pogardą siebie. Nie ma katolików takich, jak Wiśniewski. Są tylko płytkie i powierzchowne obserwacje i sądy. Owszem, większość katolików to ludzie grzeszni, można im wiele zarzucać. Nie wolno jednak nikomu, nawet zbrodniarzom, zarzucać nicości. To, co nam się wydaje nicością, jest tylko brakiem danych, naszą ślepotą. Nie wierzę i nigdy nie spotkałem katolika, który by np. nie żałował ani razu w życiu, za swe grzechy. A to jest najbardziej wstrząsające przeżycie! I to odkupuje, unicestwia nicość duchową. Nie wolno katolickiemu pisarzowi takich postaci tworzyć, po to, by je wyszydzić, a wraz z nimi tysiące prostych, grzesznych, upadłych, ale nie przepadłych katolików.

Co najgorsze jednak — ten punkt widzenia, ten problem, jest banalny. Nic w nim nowego. Wyświechtany już od dawna przez wrogów kościoła, cnoty, piękna. Kto wymyślił przysłowie „modli się pod figurą" i kto je stosuje do każdego, który się modli? Kto gardzi „dewotkami" i pogardę tę upowszechnia na każdą pobożną kobietę? Dawniej byli to wrogowie kościoła, a dziś powtarza to każdy, kto mało myśli, a dużo powtarza i chce uchodzić za oryginalnego. O ileż jednak bardziej oryginalni byli Prus, czy Dickens, którzy widzieli i ukazywali między na pozór pospolitymi ludźmi, skarby niezwykłości i bogactwa ducha. Nie, dla literata nie ma nic gorszego nad banalność, a taki stosunek do t. zw. przeciętności świadczy tu o przeciętności tylko literata. Bardzo łatwo jest pogardzić, zbyć szyderstwem kogoś, kto razi i jest niezrozumiały. Bardzo łatwo się buntować. Trudniej jest zobaczyć wszędzie coś zabawnego, cennego, trudniej opanować się, a nie złamać.

Zresztą, może i literatowi wolno tak sądzić. Leon Bloy, największy chyba mistyczny pisarz ostatniego stulecia, całe życie wymyślał swoim i obcym. Ale wydaje mi się, że on więcej karcił błędy, niż osoby. Może i Wiśniewski jest figurą fikcyjną, alegorią, uosabiającą przywarę, którą się zwalczy pogardą i ośmieszeniem? Wniknijmy jednak w intencje autora i czytelnika. Autor widocznie uważa się sam za coś lepszego. I to właśnie jest niemiłe. Pogardzanie człowiekiem jest zawsze niemiłe dlatego, że tego czynić nie wolno. Jest to przeciwne miłości bliźniego. Gdyby choć ta postać była objęta litością, oburzeniem, gniewem autora, — wszystko to są uczucia chrześcijańskie, z dobrych pobudek płynące. A czytelnik? Na pewno ustosunkuje się tak, jak autor. Każdy będzie Wiśniewskim gardził, jak ów faryzeusz („dziękuję Ci Boże, żem nie jest jak inni, jak i ów celnik"), każdy będzie się uważał za coś lepszego. Ja, dziwnym wypadkiem uważam się za coś podobnego do tej postaci. Katolik, ojciec rodziny, członek stowarzyszeń... I dlatego protestuję. Może jestem gorszy od innych, śmieszny, ale mam swoje życie, którego inni nie znają, nie mogą znać i dlatego nie mogą nim gardzić. To, że Żukrowskiemu nie podobają się tacy, że woli marksistów? Rzecz gustu. Ale to nie powód, by go za to chwalić. Usposobienie pokorne, pełne miłości do bliźniego — oto uczucia, jakie powinien szerzyć pisarz katolicki.

Równie banalny i nietrafny jest erotyzm. Argumenty o urazach na tym tle, purytanizmie i zakłamaniu, są od dawna już wytarte przez wszystkich pornografów, a, niestety, bezkrytycznie przyjęte przez mało jeszcze wyrobioną inteligencję katolicką. Warto by spojrzeć na to krytycznie. Dlaczego literaci nadużywają erotyzmu? Bo nie ma prawdziwego talentu między nimi. Byle kto może opisywać mniej lub więcej szczegółowo akty erotyczne i być pewnym, że będzie przez to poczytnym, bo trafi do najniższej sfery pobudliwości całych rzesz czytelników. Ale trzeba naprawdę wielkiej pracy umysłu, żeby się podobać, żeby poznać czytelnika mimo braku tego elementu. I tu dopiero będzie wielkość i oryginalność.

Nie chcę jednak zbywać tylko tym argumentem ad personam skomplikowanego zagadnienia. Z drugiej strony nie jestem w stanie go wyczerpać. Omówię zatym po krótce „właściwą proporcję zagadnień" w dziele literackim, o którą chodzi p. Kurzynie. Nawiasem dodam, że nie wierzę w świętego, o którym wspomina p. Kurzyna, który nie chciał ludziom podawać ręki. Na ogół jest odwrotnie. Ale wracam do sprawy. Często się mówi, że pisarz powinien opisywać „wszystko", żeby w dziele literackim było życie. Zagadnienie to rozpatrzę na przykładzie, który właśnie przyszedł mi do głowy.

Weźmy psa w literaturze. Jest o nim wiele dzieł naukowych, są na Zachodzie czasopisma, poświęcone mu, jest szereg kapitalnych powieści i nowel o psach. Nie będę przypominał Dygasińskiego i Londona, mimochodem napomknę o specjalnym tomie wspaniałych nowel Kiplinga pod tytułem bodaj „Najpiękniejsze psie historie". Napisano więc sporo! Nigdzie jednak nie spotkałem opisu tego psiego przeżycia, jakiemu często asystowałem naiwnie w swoich dziecięcych latach. Jako siedmioletni chłopiec biegałem z gromadą starszych i młodszych kamratów za psami w okresie ich zalotów. Nie rozumiałem tego, na co patrzyłem, zadawałem na ten temat starszym żenujące pytania... Ale pamiętam, że już wtedy było mi głupio na ten widok, choć z nieokreślonych powodów. I teraz jest mi głupio i nie będę opisywał szczegółów tej sceny. A mógłbym. I mógł kapitalną, życiową, prawdziwą, realistyczną scenę z psiego życia opisać Dygasiński, London, Kipling i wielu innych. Dlaczego tego nie zrobili? A dlaczego za nieodzowny temat każdego prawie opowiadania uważa się opis takich scen między ludźmi? To o psach można pisać całe wielkie tomy z pominięciem ich erotyki, a o ludziach nie można. To psy i bez pierwiastka erotycznego mają mnóstwo zabawnych, ciekawych własności duchowych, umysłowych, indywidualnych, że bez końca można je opisywać, a kobiety są interesujące tylko w związku ze swą samiczą naturą?

Wędrówki po scenach polskich

Armand Salacrou — Noce gniewu

Twórcy współczesnego dramatu, ci zwłaszcza, którym nie wystarcza zamykanie nowej treści w starych formach, oscylują między dwiema krańcowymi koncepcjami.

Pierwsza z nich to t.zw. teatr milczenia. Osoby działające legitymują się tu w zasadzie czynami. Obowiązuje oszczędność słów. Te które zostaną wypowiedziane mają wagę złota, są niezbędne. Olbrzymią część myśli autora widownia musi sobie dopiewać sama. Przykładem takiego teatru jest twórczość Szaniawskiego. Jedną ze sztuk francuskiego „teatru milczenia" zobaczymy niedługo („Dom przy drodze") na scenie MTD.

Teatr milczenia szuka sobie widzów wśród ludzi umiejących myśleć — stąd częste narzekania gawiedzi na sztuki tego typu.

Druga koncepcja to teatr inscenizowanej publicystyki. Tu nie ma dla odmiany nic do dodania. Ze sceny jak z gazety płynie pełny, okrągły wykład teorii autora. Osoby na scenie działające istnieją tylko po to, by reprezentować odgałęzienia myśli głównej, lub po to (potrzebne to jest do podkreśleń) by wypowiadać myśl przeciwną, zwalczaną.

Jeśli tam groziło niezrozumienie — tu czai się niebezpieczeństwo zalewu słów, dydaktyczno - umoralniających dłużyzn, nadużywania prawd oklepanych „łopatologii". Znamy z ostatnich premier taki teatr ze wszystkimi jego błędami: „Pan Inspektor przyszedł" — oto przykład klasyczny.

Do tego teatru również zaliczyć należy chyba i „Noce gniewu" Salacrou, z tym jednakże, że doskonały dramaturg francuski potrafił wybrnąć z trudnej sytuacji, bo jakkolwiek w sztuce powiedziane jest wszystko, lawina słów nie nuży, nie nudzi. Stało się tak dzięki temu, że Salacrou jest nie tylko publicystą, ale i świetnym znawcą teatru.

Dłużyznom scenicznego bezruchu „Inspektora" przeciwstawiają „Noce gniewu" śmiałość pomysłów inscenizacyjnych, barwność i tempo akcji, a świadomie do niej wprowadzone akcenty nierealne, jak również przemieszanie kolejności czasu trwania poszczególnych jej fragmentów, stwarza pozory zagadki, której rozwiązywanie w myśli przynosi widowni momenty odprężenia.

Chociaż na scenie dzieje się tak wiele sens sztuki jest prosty. Wojna się skończyła. Koszmar okupacji mamy już za sobą. Zamknął się smutny rozdział naszej historii. Warto, na progu nowej ery, rozliczyć się z przeszłością, warto dokonać rachunku sumienia z naszej postawy w latach okupacji.

Do kogo jesteśmy podobni? Do Rivoira lub Jana Cordeau? Do Bernarda Bazire, czy wreszcie do Pisoncon?

Innego wyjścia nie było. Można było być zdrajcą, można było być z tych co to „ja chcę żyć", a więc niby obojętnym z większą z natury rzeczy skłonnością do pójścia na drogę świństw niż do bohaterstwa i wreszcie można było być walczącym na każdym kroku, nieustępliwie i bezwzględnie o wolność zarówno swoją jak i innych, o wolność przyszłych pokoleń i przyszłych wieków.

I nie trzeba innych komentarzy do tej sztuki. Ocena jaką Salacrou daje każdemu z tych trzech typów ludzkich jest tak wyraźna, że wystarczy tylko stwierdzić swoje do jednej z nich podobieństwo i... wyciągnąć wnioski.

A głosu sumienia nie zagłuszy nawet patent rehabilitacyjny.

POSTAWĘ PISARZY

z recenzją)

Nie, przeciw temu zawsze się buntowałem i buntuję. Zawsze kobietę uwielbiałem i teraz uwielbiam za jej uroki duchowe, umysłowe, osobiste, indywidualne, moralne, uroki nieopisane, niewyczerpane, skarby bezcenne, które każdy prawie literat pomija, których nie widzi, bo jest na nie ślepy, bo widzi tylko seksualizm.

Jest na szczęście przykład, jest moc przykładów literatury, gdzie o kobiecie mówi się jako o człowieku, przedziwnym, czarującym, wzruszającym człowieku, a nie jako o przedmiocie powierzchownych przyjemności naskórka. Literatura angielska, która przewyższa o kilka klas wszelkie inne literatury z francuską na czele, jest pozbawiona całkowicie pierwiastka seksualnego. Oczywiście mam na myśli wielką angielską literaturę. Kipling, Chesterton, nawet Oscar Wilde, nawet ateista Wilh, są całkowicie czyści, może pod wpływem purytanizmu, który dla literatury okazał się zbawienny. Oczywiście zwolennicy seksualizmu nazwą ich zakłamanymi, ich postawę pruderią, natomiast swoją pornografię nazwą prawdą i szczerością. Ale nie chcę używać sarkazmu, tylko rzeczowości.

Twierdzę, że wielkość swą powyżsi pisarze angielscy (u nas tylko Prus stał na ich poziomie) zawdzięczają właśnie uwolnienie się z oparów seksualizmu, dzięki czemu mogli zachować „właściwą proporcję zagadnień" tematów i t.p. W literaturze francuskiej, czy naszej, która ją małpuje, erotyzm dominuje i nie pozostawia miejsca na ważne, wyższe zagadnienia. Tymczasem erotyzm, jeśli jest zagadnieniem, to tylko w znaczeniu negatywnym, polegającym na trudności uwolnienia się z jego przewagi. Jest to sprawa raczej moralności i dyscypliny indywidualnej, niż literatury. Ale rozpatrzmy sprawę od korzenia, psychologicznie, in statu nascendi, bo inaczej dyskusja będzie akademicka. Nie będę, nawet dla katolików, używał powagi kanonów kościelnej moralności o grzechu śmiertelnym i zgorszeniu w dziedzinie czystości, najtrudniejszej do stosowania w praktycznym życiu i dlatego tak zapoznawanej i odrzucanej przez ogół świeckich katolików. Należy tu użyć doświadczenia psychologicznego własnego, innymi słowy introspekcji. Do tego potrzeba całkowitej szczerości. Zobaczymy, kto jest zakłamany, katolik prawowierny, czy rajfur.

Nie mam przy sobie egzemplarza „Boskiej Komedii" więc nie pamiętam, w której pieśni „Piekła" Dante daje obraz, który wyjaśnia całą tę sprawę. Nieporównanie plastycznie (jak to Dante) opisuje on kobietę, którą gdzieś tam spotyka. Jest ona szpetna, ba, odrażająca! W miarę jednak przyglądania się, kobieta pięknieje, staje się urocza, Dante nie może od niej oczu oderwać, ani myśli, ani wyobraźni, cała jego dusza, wszystkie władze na niej się skupiają i niczego poza nią dostrzec nie mogą. To samo mogę stwierdzić i ja w moim ubogim doświadczeniu. Ta kobieta z wizji Dantego to nie kobieta. Porębowicz objaśnia, że to jest obraz procesu oddziaływania pokusy i reakcji na nią kuszonego. Z początku patrzymy na nią obiektywnie i dopóki ten rzeczowy stosunek trwa widzimy jej szpetotę i możemy ją odrzucić. Jeśli jednak tego nie uczynimy, wówczas dostajemy się pod jej wpływ, pod jej władzę i stajemy się jej niewolnikami. Wtedy głosimy, że ta kobieta jest piękna, prawdziwa, jedyna, że nic godnego poza nią nie istnieje, że każdy, kto jej nie uznaje, jest zakłamany itp. — to wszystko, co nam właśnie głoszą o życiu i realizmie zwolennicy seksualizmu. Opary podniecenia tworzą wtedy gęstą mgłę, która ogranicza pole widzenia i odczuwania do jednego tylko seksualizmu. Biedna ofiara jest wtedy podobna do monomaniaka, który swoim konikiem tłumaczy wszechświat. Jako pisarz będzie opisywał sceny lubieżne. Jako malarz będzie malował we wszelkich pozach nagie kobiety. To samo jako rzeźbiarz. Jako psycholog będzie tłumaczył wszystko kompleksem Edypa. Taki artysta będzie utrzymywał, że tylko naga kobieta jest piękna i godna jego zainteresowania. Nie przyjdzie mu do głowy, że jest opętany jednym gatunkiem doznań i że to one podszeptują mu takie twierdzenia. Bo czemuż to np. kobieta garbata, zezowata, piegowata, stara, pomarszczona ma być brzydka? Czemuż takich nie malują i nie rzeźbią? Kształty ich są bogatsze, rysunek ciekawszy, bardziej złożony, a są wyśmiewane i lekceważone? Tylko młode i t. zw. „piękne" są interesujące. Cóż za ograniczenie. A przecież t. zw. „piękne" kobiety są nudne, puste i płytkie! Zazwyczaj. A ich malarskie i rzeźbiarskie właściwości są jednostajne, jak to już Prus zauważył w cudownej, .nieporównanej noweli „Sen". Podobnie o ileż bardziej malowniczy jest obdartus od fircyka we fraku.

To są rzeczy niezaprzeczone, prawdy ogólnie znane i żaden malarz, rzeźbiarz, literat mi nie zaprzeczy. Tylko powie najbardziej bezsensownie: „nie jestem Fidiaszem, Angelico, Arystofanes, Kipling, Chesterton oni tworzyli tak, a ja muszę tak, ja im nie dorosłem". Musi! Nie dorósł! To po licha maluje, rzeźbi, pisze, skoro nie ma zamiaru tworzyć conajmniej tak jak oni i skoro wie, że czystość jest Condito sine quanon wielkiej twórczości. Niech maluje pokoje, lepi garnki, pisze protokuły posiedzeń, to będzie choć pożyteczny. Niech nie zaraża ludzi swoją manią lubieżności.

I to jest najważniejsze — skutki społeczne takiej sztuki. Kto się śmieje i lekceważy zgorszenie, ten jest nierozumnym dzikusem, a nie człowiekiem kulturalnym. A kto nie przewiduje takich, czy innych skutków swej pracy, ten nie jest dojrzały i odpowiedzialny — dziecko z zapałkami. Zgorszenie jest rzeczą okropną i rzeczywistą. Bądźmy tylko szczerzy. Kiedy miałem lat piętnoście gardziłem romansami miłosnymi. Wolałem o całe niebo awantury, podróże, przygody, Maja do tej pory wolę od Sienkiewicza. Miałem wtedy ten obiektywny stosunek do pokusy, jak w obrazie Dantego, choć był to raczej instynkt, niż wola. Na kobiety patrzyłem z szacunkiem i podziwem, jak na cudowne istoty. Do tej pory tę postawę zachowałem w czterdziestym roku życia, bo starałem się unikać pokus, posłuszny kościołowi. Ale nie obyło się i bez lektury erotycznej i bez oglądania nagości — rzecz jasna. I mogę tego tylko żałować. Wszelki wpływ erotyzmu, w każdej postaci, był szkodliwy jak porażenie trucizną. Odbierał spokój, mącił myśli, przytłumiał inne, wszelkie, jakieby nie były, zainteresowania, czynił mnie niezdolnym do pracy nawet mechanicznej, bo twórcza była zgoła niemożliwa. Tylko znane katolikom środki usuwały ten wpływ. Po dziś dzień erotyzm działa na mnie tak samo. I będzie działał tak samo, gdy będę miał sto lat. Znam starców, prawie trzykrotnie starszych ode mnie, którzy tak samo jak przed siedemdziesięciu laty opowiadają swoje „kawały" z zaznaczeniem, że to im opowiadała kobieta. Wiek nie gra tu żadnej roli. I nie uważam się za wyjątek. Uważam się za człowieka normalnego. Jestem pewien, że każdy normalny mężczyzna reaguje tak samo. I jeśli ktoś powie, że na niego to nie wpływa ujemnie, to łże. A nas tu przecie obowiązuje szczerość. Tu widać, kto jest zakłamany. Jeśli zaś mówi szczerze, to można się nad nim litować, bo stan jego jest zatrważający. On jest już nieczuły na bodziec seksualny! Stępiony popęd płciowy to niemoc, impotencja. A człowiek zdrowy powinien być wrażliwy, jak najdłużej póki żyje, na wszelkie bodźce. Wrażliwością mierzy się wartość człowieka. Niewrażliwego nazywamy pogardliwie gruboskórnym. W wypadku erotyzmu i jego obrońców dostrzegamy groźne niebezpieczeństwo powolnego samobójstwa.

Nie lubię erotyzmu dla podobnych powodów, choć z większą odrazą, dla których nie lubię szczegółowej opowieści o tym, co i jak ktoś jadł, lub pił. Wszelka prawidłowa funkcja fizjologiczna sprawia rzetelną przyjemność. To każdy wie. Ale szczegółowo je opisywać jest nieprzyzwoitością i złym wychowaniem, bo jest to przyjemność czysto intymna, indywidualna. Nikt nie ma prawa o tym opowiadać. W wypadku szczególnym erotyzm jest to przyjemność i tajemnica dwóch osób, co wzmacnia obowiązek dyskrecji. W dodatku wypadek ten jest o tyle szczególny, że tej przyjemności można zażywać tylko w określonych okresach czasu i tylko do jednej kobiety ma się prawo. Ktokolwiek zachęca — pośrednio lub wprost — do łamania tych praw, jest stręczycielem. Niełądne określenie, prawda? Ale jakże wierne. O tym twórca powinien pamiętać. To są sprawy okropnie poważne. Gdyby się miało, jak u zwierząt, prawa do każdej kobiety i w każdym okresie czasu, nie byłoby w ogóle zagadnień erotyzmu, małżeństwa, alimentów, dzieci, katastrof, nieszczęść, złamanych istnień". To są rzeczy niezaprzeczone. I trzeba na nie w końcu spojrzeć szczerze. Bez zakłamania erotomanii.

Tu należy spytać, czy w ogóle nie wolno pisać o erotyzmie? I stwierdzić, że bezwzględnie wolno. O rzeczach ludzkich, ważnych, powinno się wiedzieć, boć uświadomienie to pełnia. Mamy przecież dzieła naukowe, medyczne, które opisują te sprawy bardzo szczegółowo. Znajdziemy i w dziełach teologii moralnej szerokie opisy z tej dziedziny. I dlaczego tu nic nas nie razi? Bo wszystko zależy od intencji zamiaru i usposobienia, w jakim się pisze. Słowa dzieła są tylko powierzchnią. Pod spodem kryje się druk dzieła, usposobienie, zamysły, intencje i nie słowa, ale ten właśnie duch działa na czytelnika. I czytelnik nie zawsze go utożsami, ale zawsze mu ulegnie w mniejszym lub większym stopniu. Łatwo jest poznać literata czystego od nieczystego. Pisarz, który z upodobaniem, szeroko, szczegółowo wprowadza i traktuje sceny erotyczne, robi publiczne widowisko z rzeczy intymnych, nie nadających się do publikowania. Przypomina on młodzieniaszków, którzy chełpliwie opowiadają o tym, jak gwałcili taką, czy inną dziewczyne. Trzeba mieć gust, smak, zastanowienie choć w pewnym minimalnych stopniu, gdy się chce być pisarzem.

Na zakończenie musze wyznać, że erotyzm traktowałem dla uproszczenia, w całej jego nagości, czystości i prawdzie, a więc w przypadku krańcowym. I dlatego to, co napisałem na ten temat, nie odnosi się w całej rozciągłości i surowości do nikogo prawie osobiście, bo chyba żaden pornograf nie jest pornografem absolutnym. Ani Żukrowski, ani tym bardziej Kurzyna, który zresztą się zastrzegł, że tego problemu nie usiłuje rozwiązywać, tylko o niego zatrąca, nie mogą brać całkiem do siebie marnych, czy nawet obelżywych wyrażeń koniecznych dla uwidocznienia istoty sprawy. Mnie samemu najprzykrzej o tym pisać, bo organicznie nie lubię, nie znoszę tego tematu. Najlżejsza przyzwolona myśl w zakresie czystości jest grzechem śmiertelnym, co dla katolika jest gorsze od wszystkich nieszczęść i cierpień. Temat więc i cały ten artykuł dla mnie jest największą przykrością, ale i koniecznością. Wobec rozmiaru ignorancji w tej dziedzinie należało przecież dać komentarz do słów: „ktokolwiek zgorszy jedno z tych maluczkich..." i kim są czytelnicy, jeśli nie maluczkimi?

Z. Jakimiak.

Jeśli na którąkolwiek z tez ubocznych chciałbym zwrócić uwagę, to na mądrą ocenę pewnych naturalnych odruchów ludzkich. Sympatyczną dla nas sylwetką jest postać Lecoq'a, a przecież on idąc do każdej akcji bał się, po prostu: bał się. Nie potępiamy go za to. Nie wstydźmy się: strach jest uczuciem ludzkim i nikogo nie kompromituje, jak długo potrafimy go przezwyciężyć. A może... może właśnie w przezwyciężeniu naturalnego u człowieka uczucia bojaźni przed niebezpieczeństwem kryje się największe bohaterstwo?

W słowach, które często się dziś słyszy z ust bufonów: „o, ja nigdy niczego w czasie okupacji się nie bałem", kryje się dużo pozy i chęci imponowania. Nie ma co oszukiwać siebie i innych.

Podkreśliłem ten szczegół po to, by z niego wychodząc wypowiedzieć największy komplement pod adresem Salacrou: Wszyscy ludzie „Nocy gniewu" są prawdziwi. Nic to, że mówią do nas nawet po śmierci. To nie jest ważne. To nie odbiera im nic z naturalności myślenia i postępowania. Nie ma tu bohaterstwa wysublimowanego, ponadludzkiego: Cordeau nie wytrzymał kaźni w gestapo. Nie ma uproszczonego, banalnego potępiania zbrodni: sąd nad Bernardem przeprowadzony jest drobiazgowo, z uwzględnieniem wszystkich okoliczności, które winny mógł uważać za łagodzące. Myliłby się, kto by sądził, iż Salacrou chce tu usprawiedliwić ten typ człowieka. Autor „Nocy gniewu" pozwala Bernardowi mówić, po to by w konfrontacji pojęć łatwiej dostrzegł swą winę, by zrozumiał fałszywość przyjętej postawy.

Salacrou nie uwolnił się od błędów. Tam, gdzie chodziło o osąd stosunku do ojczyzny (może w ogóle do ludzkości) przyznajemy mu rację. Nie można jednak dyskutować z wypowiedziami, w których usiłuje on się wznieść ponad człowieka. Pewne rzeczy lepiej pomijać milczeniem. Sam Salacrou uznał za niecelowe dłuższe zatrzymywanie się przy postaci Pisançon — jego wina była zbyt przejrzysta.

Rivoir palnął gdzieś kiedyś jakieś głupstwo o stosunku między Bogiem a człowiekiem. Uśmiechnijmy się z wyrozumiałością.

*

Sądzę, że spektakl łódzki wyglądał nieco inaczej (lepiej) pod względem dekoracyjnym. Nie martwię się z tego powodu. Z pośród wykonawców największe moje uznanie zdobyła Barbara Ludwiżanka, Zdzisława Zyczkowska i Zdzisław Salaburski.

Mieczysław Markowski.

W świecie...

NOWA CZECHOSŁOWACJA

Nowy kryzys polityczny Czechosłowacji — o którym obszerniej napiszemy w miesięcznym komentarzu spraw zagranicznych — zakończył się całkowitym zwycięstwem nowego Frontu Narodowego. Front Narodowy wyłonił nowy rząd, który zapowiedział nacjonalizację fabryk zatrudniających powyżej 50 robotników, wyłączność państwową nad handlem hurtowym i zagranicznym, parcelację majątków wyżej 50 ha. Partie polityczne — szczególnie „czeska partia socjalistyczna" (dotychczas „narodowo-socjalistyczna") przeprowadzają w swych szeregach czystki polityczne. Paru polityków uciekło zagranicę. Przebieg wydarzeń wywołał duże niezadowolenie na zachodzie, gdzie spodziewano się raczej wyłączenia się Czechosłowacji z obozu demokracji środkowej i wschodniej Europy. Parę dni przed początkiem kryzysu — ambasador USA w Pradze oświadczył, iż spodziewa się, że Czechosłowacja jednak przystąpi do planu Marshalla.

KONFERENCJA W LONDYNIE

W Londynie miała miejsce konferencja w sprawie przyszłości Niemiec zachodnich, w której uczestniczyły Wielka Brytania, Stany Zjednoczone, Francja i państwa Beneluxu. Korespondenci londyńscy podkreślają, iż żadne uchwały wiążące nie zapadły podczas dwutygodniowych rozmów, a tylko zgodzono się na szereg zaleceń, jak m. in. to o ścisłej współpracy administracyjnej Bizonii ze strefą francuską. Nic poza tym. Nie nastąpiło włączenie strefy francuskiej do Bizonii, ani też nie rozwinęła się szersza dyskusja nad sprawą zarządu międzynarodowego dla zagłębia Rhury. Znalezienie wspólnego języka na temat niemiecki między USA i Wielką Brytanią z jednej strony a Beneluxem i Francją z drugiej — jest rzeczą bardzo trudną. Po prostu dlatego, iż inaczej na problem niemieckiego niebezpieczeństwa zapatrują się kraje, które przeżyły okupację Niemiecką, kraje graniczące z Niemcami, a inaczej te, które jej nigdy nie doznały. Łatwiejszym już byłoby znalezienie wspólnego języka pomiędzy samą Wielką Brytanią a krajami zachodniej Europy. Na to widocznie liczy Bevin montując w toczącej się właśnie w Brukseli konferencji pięciu „mały blok zachodni".

W AMERYCE POŁUDNIOWEJ

W Południowej Ameryce zaszły ciekawe wydarzenia polityczne. Między Guatemalą a Wielką Brytanią wybuchł spór o Honduras Brytyjski. Guatemala rości sobie prawo do tej kolonii brytyjskiej. Stosunki są naprężone. Gabinet Guatemali obraduje trzeci dzień bez przerwy. Parę innych państw południowo-amerykańskich solidaryzuje się z żądaniami Guatemali. Wielka Brytania wysłała do Hondurasu swoje statki wojenne. Podobny spór toczy się o wyspy Flamandzkie, bezprawnie zajęte przez Argentynę, a będące kolonią brytyjską. I tu też W. Brytania jak dotąd zareagowała tylko wysłaniem pancernika wojennego. Spór ten jest fragmentem sporu o tereny na Antarktydzie południowo-amerykańskiej, w sprawie których rządy Chile i Argentyny ogłosiły iż tylko one mają do nich prawo niezaprzeczonej suwerenności. Spory w południowej Ameryce robią wrażenie marionetkowych. Ktoś pociąga za sznurek zarówno Guatemalę, jak Chili i Argentynę — ktoś komu zależy na denerwowaniu Wielkiej Brytanii. Stany Zjednoczone zachowują w tej sprawie dwuznaczne milczenie.

Eugeniusz Paukszta

MYŚLI, KTÓRYCH BRAK ŚWIATU...

Drugi tom *) cyklu rozpowieści — „Valde ama" — p.t. „**Miód z opoki**" już samym mottem wprowadza w w swoistą atmosferę zaciekawienia i pewnego niepokoju przed treścią dzieła, tym bardziej, gdy ma się jeszcze w pamięci swoisty styl myślowy i zakres problemów poruszonych już uprzednio w „**Pod błękitami**". Motto, pomyślane zresztą, jako rodzaj wyzwania dla czytelnika nie tylko każdego z tych tomów, ale i całości cyklu, wzięte jest z O. Lacordaire'a i brzmi — „Zaprzecz, jeśli możesz! Przyświadcz, jeśli się na to odważysz"!

Sugestywna, mocna i pewna siebie treść tych słów obowiązuje. Autor musi mieć głębokie przeświadczenie słuszności wyrażanych przez się poglądów — jak i równie głębokie poczucie odpowiedzialności także za to, ku jakim myślom i wnioskom lektura jego dzieła może prowadzić.

Jeleński należy do starego pokolenia pisarzy, ma w swym dorobku szereg wartościowych pozycji, powtarzanych w kilku nakładach. Cała jego twórczość ma silny, dominujący akcent katolicki. Chrześcijańską, katolicką etykietę też z góry otrzymuje dzisiaj i każda jego dalsza praca, choć już nie ma na niej, jak np. w „Światłach tajemnic", imprimatur władz duchownych. Tym trudniej jest autorowi, poprzedzanemu podobną oceną, w zakresie spraw — drażliwych z wielu względów — z całkowitą swobodą i otwartością myśli, by już nie w treści bezpośredniej, ale w konsekwentnie za nim postępującej reakcji myślowej, nie zasiać ziaren mogących wydać spaczony ton światopoglądowy.

Piszę to dla tym mocniejszego podkreślenia treści i głębi myślowej, intelektualnej problemów, poruszonych w swej pracy przez Jeleńskiego, problemów tak często zapominanych, pomijanych, odkładanych na „bok", jako trudne, a nieraz nawet przemilczywanych celowo ze względu na ich drażliwość. Łatwiej jest operować truizmami, deklamować szablonowymi, utartymi zwrotami, nie próbując zgłębiać właściwego sensu naszego istnienia, nie analizując stosunku naszego do życia — i tego poznawalnego zmysłami, i tego — które zgłębić, przynajmniej do pewnych granic — potrafi człowieczy intelekt.

Podbudowa myślowa własnej wiary w rzeszach katolików polskich rzadko kiedy jest na odpowiednim poziomie. I dlatego też, przez brak przemyślenia, a w ślad za tym — zrozumienia — wiara u wielu nie jest pełną, pozostawia luki i uproszczenia. Gdy w pewnym momencie autor ustami pasterza Rocha mówi o potrzebie walki o Pana Boga właśnie z katolikami, z wierzącymi, walki polegającej na zbliżeniu ich do Boga także i poza uczuciem, przez intelekt, przez rozum (str. 201) — odsłania się przed nami wyraźnie jedna z intencji Jeleńskiego, które popchnęły go do napisania omawianej tu pracy.

Przed przystąpieniem do omówienia treści rozpowieści, znając już dwa tomy cyklu, można będzie spróbować zaanalizować przypuszczalne założenia autora, którymi powodował się przy opracowywaniu tej niecodziennej pod względem zarówno formy jak i treści — pracy.

Cel zasadniczy, to poruszenie zagadnień, z którymi spotykamy się stale, codziennie, które stwierdzamy jako fakt, ale nad którymi nie zastanawiamy się głębiej, nie odszukujemy ich istoty, nie próbujemy zanalizować i pojąć. Jest to wypowiedzenie walki ubóstwu, prostracji duchowej, przede wszystkiem środowisk katolickich, ale też uderzenie argumentami rozumowymi w założenia nauki materialistycznej.

Specyficzna forma pisarska utworu, gdzie rzeczy dzieją się w **normalnym** życiu, wśród **normalnych** ludzi, w atmosferze **normalnych** ich przeżyć, ma świadczyć za słusznością tezy, że w życiu potocznym nie można abstrahować od zagadnień najistotniejszych tyczących sensu i celu naszego bytowania, ale że należy je przemyśliwać, przedyskutować, dociekać ich sedna. Zwykłość postaci ludzkich i zwykłość sytuacji właśnie dlatego jest tak silnie podkreślona w obu rozpowieściach.

Wątek powieściowy (zresztą w „Miodzie z Opoki" bardziej naturalny i rzeczywisty niż w „Pod błękitami") wprowadzony przez Jeleńskiego uprawiającego dotychczas rodzaj pisarski, zbliżony do studium, ułatwić ma autorowi swobodę myśli i wypowiedzi, zezwala mu na poddawanie poprzez postacie utworu różnych opinii, nie zawsze zgodnych ze stanowiskiem własnym autora, ale umożliwiających mu przeprowadzenie swoich założeń przez **myślenie dociekliwe**, sprowokowane odmiennym zdaniem któregoś z jego „bohaterów".

Z kolei założenie drugie, które nie zawsze właściwie rozumiane, przyczyniło się do stawiania Jeleńskiemu zarzutów dotyczących realizmu jego utworu. W obu rozpowieściach nie ma wcale tła społecznego naszych czasów, choć akcja właśnie w nich się rozgrywa, nie ma realizmu dni dzisiejszych. Wydaje mi się, że przyjmując założenie pierwsze, zasadnicze, konsekwentnie należy przyjąć, według określenia p. Starowieyskiej-Morstinowej, i ten „realizm poza rzeczywistością". Autor celowo podchodzi do życia swych postaci od strony dodatniej, pomyślnej. Uchyla od nich kłopoty materialne, wszelkie zakłócenia zewnętrzne, wszystko to, co by mogło zahamować ich zdolność myślenia i dociekania istoty problemów, które z woli autora próbują analizować. Ten pozytywny obraz życia materialnego nie przeczy zresztą wymaganiom prawdy; ostatecznie w przeciągu kilku miesięcy może istnieć tak idylliczna sytuacja życiowa pewnej grupy osób — a akcja trwa w ciągu tych kilku miesięcy. Fabuła narracyjna rozpowieści świadomie podporządkowana zostaje celowi głównemu — sprawom duchowym.

Trzecim założeniem jest potrzeba uderzenia w przesadny homocentryzm naszych czasów, w megalomanię rodu ludzkiego, wysuwającego siebie na najwyższy piedestał. To samo zresztą co i w pierwszej rozpowieści — „**Pod błękitami**" gdzie „wielka myśl" Wery sprowadza się do pragnienia, by pomniejszyć wyolbrzymioną rolę człowieka do jego właściwej miary we wszechświecie. Stąd tak tam szeroko i głęboko przedstawione związki naszego globu i jego znikomość w proporcji do kosmosu.

Równolegle przez to sprowadzenie roli człowieka do właściwych jej wymiarów, przez wykazanie znikomości Ziemi w stosunku do Kosmosu, przedstawić, uzmysłowić nam pragnie Jeleński właściwą wielkość Boga. Pojęcie tej wielkości wzrasta bowiem samoczynnie ze zdaniem sobie sprawy z ogromu obiektu stworzenia. (Wszechświat). Im większy ten obiekt — tym większe nasze wyobrażenie Boga.

Nie można też nie zaznaczyć przebijających wyraźnie z utworu tendencji, pomniejszego, że się tak wyrażę, kalibru, jak choćby stale acz dyskretnie akcentowane przez przykłady i cytaty poetyckie, wskazywanie na konieczność większego kontaktu człowieka z poezją. Wskazanie na tle dni dzisiejszych, gdy prawdziwa poezja wciąż zwęża zakres swych wielbicieli — nader istotne.

Ta próba zanalizowania założeń ideologicznych autora łatwiej pozwala przetrawić rzeczywiście wyjątkowe nagromadzenie myśli w „Miodzie z Opoki".

Gdy pierwsza część cyklu opatrzona była podtytułem — rozpowieść o rzeczywistości, to „Miód z Opoki" ma podtytuł inny — rozpowieść o cieniach.— Jeleński w misternie przeprowadzonych dialogach doprowadza do ostatecznej kosekwencji te rzeczy, te zagadnienia, do których na ogół do końca nie docieramy, względnie, co trzeba podkreślić — nie chcemy dociec. I jeśli w pewnych kwestiach, jak np. w wyjaśnieniu przyczyny i sensu niezawinionego cierpienia zwierząt, autor wreszcie oświadcza, że rozwiązanie jest tu niemożliwe, że kwestia pozostaje nadal tajemnicą dla umysłu ludzkiego, a rozwiązanie pełne znajdziemy dopiero **po tamtej** stronie — jest on wtedy podwójnie konsekwentny. Raz, że doprowadził dociekanie swoje do ostatecznych granic poznawalnych ludzkim rozumem, dwa — że nierozwiązanie doczesne tej zagadki bytu nie jest opuszczeniem rąk, a tylko **chwilową** niemożnością poznania w tym krótkim epizodzie bytu, jakim jest życie. Życie jest bowiem tylko epizodem naszego istnienia. To jest jedno ze stwierdzeń, specjalnie silnie akcentowanych przez autora i wyjaśniających istnienie granic naszego poznania.

Rozpowieść o cieniach — to próba analizy zła w świecie, jego przyczyn, rozrostu, jego nieustanności. Wprowadzeniem w te rozważania może być rozmowa dwu starych przyjaciół na temat udziału woli Bożej w przeobrażeniach doczesnych świata:

„...Na świecie **bardzo mało** dzieje się z **woli Bożej**. Oto Chrystus kazał nam się modlić: „Bądź wola Twoja. A to, co się na ziemi **dzieje**, dzieje się przeważnie z woli człowieka i **szatana**, który jest Księciem tego świata.

Ale Pan Bóg zgadza się na to?

— Ale to się dobrze i ściśle wyraża tym pięknym staropolskim słowem — **dopust. Dopust** Boży a **wola** Boża, to wielka różnica".

Jeleński wyraźnie stwierdza powszechny naszym czasom, nie tyle brak wiary w Boga, ile **wiary** w szatana „niszczyciela nieba i ziemi, wszechrzeczy widzialnych i niewidzialnych". Istnienie szatana, jego wielki, wyraźny wpływ na dzieje świata, ojcostwo zła i jego źródło, udział człowieka i wolnej woli we wspomaganiu szatana — to jest temat dociekań gawęd kominkowych, przy których gromadzą się postacie utworu.

Bóg — w kwintesencji tych rozważań — stwarza każdą materię i siłę, ducha i duszę, ale nie stwarza ich stosunków, sposobu postępowania i życia. Stwarzanie jest wyłącznym aktem Boga. Ale na działalność życiową stworzeń ze szczególnym upodobaniem posiłkuje się Bóg działaniem nie bezpośrednim lecz przyczyn wtórnych, przez pośrednictwo stworzeń wyższych na niższe. Bóg stwarza to, **co jest**, ale **czym to jest**, dzieje się dzięki rozumowi i woli ludzkiej, w jeszcze wyższym stopniu dzięki wpływom, rozumowi i woli duchów wyższych od człowieka, duchów czystych. Duchy te są w znacznie potężniejszym stopniu, racją bytu stworzenia niż człowiek.

Bóg więc kieruje bezpośrednio losami przyrody, jej przemianami. Wszelki ład pochodzi od Niego, nie zawsze bezpośrednio, a często wtórnie, przez aniołów i ludzi. Wszystko zaś, co złe, wynaturzone, zboczone w przyrodzie, jest skutkiem działania szatana i... znowuż ludzi.

Szatan jest wyrazem opartego również o wolność i prawo do zmagania buntu świata pozaludzkiego, świata inteligencji wyższych niż człowiek — duchów. Szatan jest wyrazem przewrotności istot wyższego rzędu — zbuntowanych przeciw Bogu — Stworzycielowi. Walka rozpoczęta z Bogiem przez bunt szatana trwa ciągle. Dąży on do zniszczenia tego, co stworzył Bóg. Jest niszczycielem — Asmodeuszem. Istnieje, bo istnieje nieodwołalność buntów, które Bóg do istnienia powołał. Nienawidzi Boga i nienawidzi własnej ku niemu nienawiści, pogardza też człowiekiem, który szatanowi ulega. Pragnie zniszczyć wszystko, co jest, co stworzył Bóg. Ale nie może unicestwić istnień nieożywionych, najwyżej zepsuć ich ład, celowość i piękno. Natomiast szczególnym terenem jego walki ze Stworzycielem jest życie — „jedyna rzecz na świecie, którą stworzenia mogą **mnożyć** niemal **bezgranicznie** i mogą niszczyć". Szatan jest dyktatorem zła, działającym na zgubę ludzi, tak jak Chrystus działa dla ich zbawienia. Siłą Boga w tej walce jest to, że może On duszom ludzkim udzielać dobra wewnętrznie, szatan zaś nie może im przekazywać zła wewnętrznie, ale tylko zewnętrznie dąży do odwrócenia ludzi od Boga i pozyskania ich swojej woli.

Dzięki sile szatana, potędze jego władzy nad światem i dzięki człowiekowi, tak często mu ulegającemu, — że o wiele więcej jest na świecie obrazy Boskiej niż chwały, że tak mało jest prawdziwej świętości, piękna, prawdy i miłości, a tak wiele szpetoty, marnotrawstwa, zła moralnego, cierpienia, strachu, życie człowieka jest tragedią. I w tej tragedii tylko szukać trzeba piękna życia, traktowanego jako epizod istnienia. Epizod ten wypełniony musi być walką z szatanem, z buntem zła, wnoszonym przezeń w osobowość człowieczą. „Naszym obowiązkiem i naszym ratunkiem jest **walka**, walka **nieubłagana**, bez wytchnienia, do ostatka z nieustanną pamięcią na jego nienawiść i pogardę i **na okropność wyrządzanej nam krzywdy**".

Na świat doczesny Jeleński patrzy pesymistycznie. Stwierdza istniejący od początku świata **bezsens dziejów**, ciągłą przewagę zła moralnego nad dobrem. A gdyby nawet nastał kiedyś „nowy, wspaniały świat", gdyby zapanował dobrobyt ogólny, ustały wojny, to nigdy nie ustanie cierpienie. I nigdy jego przydział osobowościom ludzkim nie będzie równy. Krzywda więc nie zniknie — pozostanie cierpienie jako treść życia. Zresztą w wielkości cierpienia kryje się i wielkość życia; przy czym cierpienie rozpatrywać należy nie od strony jego **ilości** ale od **jakości**. Cierpienie pochodzi bowiem od szatana, ale Bóg daje możność przeistoczenia tego zła w dobro przez przyjęcie go jako pokuty lub ofiary. Istnieją cierpienia **niezawinione** (obłąkanych, dzieci) istnieje nadmiar cierpienia. Jest ono nieodłączne od życia.

Całość dziejów ludzkości, ich bezsens, jest odbiciem, cieniem tego wielkiego buntu, który ogłosił szatan. Człowiek musi **dożyć do śmierci**. Celem tego życia powinna być walka z szatanem, przez zaprowadzenie ładu, udoskonalenie, uszlachetnienie, wytworzenie kultury duchowej. Nasze życie, życie ziemi, jest nikłym, małym, naszym odcinkiem wszechświata. I nasz świat nie zmieni się w tym, co jest w nim złe. Dziś już szerzy się nawrotne pogaństwo. Stwierdzenie tego faktu budzi wątpliwości ludzkie. A tymczasem Chrystus nie przybrał postaci człowieczej dla uświęcenia doczesności, a tylko dla otwarcia „bramy na inny świat, dania dostępu do innej rzeczywistości, do rzeczywistości wieczystej, cudownej". Wszelkie zmiany tu na ziemi są tylko niepozornym refleksem tamtych spraw na miarę wszechświata i wiekuistości.

Istotnym jest **osobowość** ludzka, która nie zaprzestanie nigdy istnieć, i jej zbawienie. Śmierć w tym aspekcie jest tylko przemianą bytu i to tymczasową. **Normalnością** naszego istnienia stanie się bowiem ponowne przyjście Chrystusa, Jego powrót. Bezsens dziejów nie powinien przerażać, bo „nie to jest istotne co się dzieje z ludzkością, ale to, co się dziejami ludzkości **dokonywa**, dopełnia". Tutaj rodzi się **ludzkość wieczysta**, a rodzi we łzach i cierpieniu, ponieważ obciążona jest piętnem winy. Człowiek powinien mieć nadzieję zdobycia poza naszym światem, poza jego doczesnością, — pewności jego wieczystych, **właściwych** przeznaczeń. Przy pesymizmie spojrzenie na doczesność równowagę życia i pracy osiągnie się tylko posiadając tą nadzieję, posiadając pełen optymizmu pogląd na przyszłość wieczystą.

Takie byłyby najogólniejsze zarysy myśli, rozsnuwanych przez Jeleńskiego w nowej jego rozpowieści. Oczywiście, są to tylko sformułowania końcowe, wynik niezmiernie ciekawych i głębokich dociekań w dyskusjach kominkowych postaci utworu. Styl ich i forma — rzadko dzisiaj spotykane w ogólnym spłyceniu i nieodbudowanej autokratyczności sądów.

W ramach swych **dociekań** autor porusza wiele problemów istotnych, jak wspomniane już zagadnienie niezawinionego cierpienia zwierząt, jak zagadnienie modlitwy i jej rozdział w sprawach doczesnych i duchowych, problem winy i kary, niewątpliwości doczesnego świata i t.p.

Książka Jeleńskiego jest niepokojąca, może zbyt pesymistyczna, zanadto mroczna. Autor niwcluje to optymizmem spojrzenia na sprawy wieczności. Czytelnik, pobudzony do intensywnego myślenia, zadaje jednak sobie pytanie, czy to usprawiedliwia aż tak skrajny pesymizm w stosunku do świata, w którym żyjemy. Czy jednak nie znajdzie się w nim więcej wartości, więcej treści szlachetnych, niż te nieliczne, porównane do gwiazd widzianych gołym okiem w proporcji do całego systemu planetarnego? Czy takie postawienie sprawy nie prowadzi jednak do ułatwiania życia, do abstrahowania z niego wielu potężnych, szlachetnych poczynań ludzkości? Czy piękno życia naprawdę kryje się **tylko** w jego tragizmie?

Na pytania te, nasuwają się przy całym podziwie dla wiedzy i logiki rozumowania autora, nie łatwo jest znaleźć odpowiedź. Tym intensywniej jej się szuka. To **zmuszenie poprostu** do **szukania**, do zaspokojenia trawiącego **niepokoju** jest niewątpliwie już samo przez się ogromnym sukcesem Jeleńskiego. Pobudzenie do myślenia człowieka dni dzisiejszych, do myślenia nad kwestiami oderwanymi od szarej, przyziemnej codzienności nie jest łatwym. Sprawić to może wysoki i... dociekliwy intelekt.

Z kolei kwestia fabuły powieściowej, narracyjnej. Gdyby autor próbował przez nią przedstawić pewien przykład moralny, nie wszystko można by przyjąć. Zdziwienie mogłaby wzbudzić np. choćby pobłażliwość pewna dla mającej tu miejsce „miłości rozrywkowej" (termin, którego nie umiem umiejscowić i z którym stanowczo się nie zgadzam; może tu istnieć albo uczucie prawdziwe z jego konsekwencją — małżeństwem, albo po prostu — grzech; nie widzę miejsca dla usprawiedliwienia „rozrywki".), dla oryginalnego małżeństwa i rozwodu p. Karyny i t.p. Ale, jak już zaznaczyłem, fabułę w rozpowieści Jeleńskiego traktować trzeba tylko i jedynie jako kanwę dającą możność wypowiedzenia myśli, stanowiących istotną treść książki. Fabuła jest po prostu takim lub innym wycinkiem wziętym z życia, osłonionym celowo od negatywnej jego strony materialnej, nie mającym na celu dawania w jakimkolwiek stopniu przykładu moralnego.

W porównaniu z „Pod błękitami" należy zauważyć, że fabuła jest tu bardziej realna i prawdopodobna, bardziej rzeczywista. Podobnie jak i gawędy kominkowe nie mają tej pewnej dozy sztuczności, cechującej uprzednie „akademie". Charaktery postaci zarysowane są swobodnie i przekonywująco.

„Myśli, których brak światu", a które tak obszernie, wszechstronnie i odważnie podaje w „Miodzie z opoki", Jeleński, powinny zostać jak najbardziej rozpowszechnione. Raz, że nauczą, dwa, że gdyby kogoś nawet i nie przekonały, to budzą go do intensywnego myślenia. A tego myślenia bardzo nam dzisiaj potrzeba.

Eugieniusz Paukszta

Poznań, w styczniu 1948 r.

*) Jeleński — „**Miód z opoki**" — rozpowieść: Wielkopolska Księgarnia Wydawnicza, Poznań, str. 303;

Nabyć, czytać, nie czytać?...

Jarecka Gustawa, Ludzie i sztandary, wyd. II., Warszawa — 1947, sp. wyd. „Wiedza", t. I, 273 str., t. II. 362 str.

Książka dobrze napisana i godna przeczytania. Wydarzenia lat 1905—1914 przesuwają się przed nami w barwnym korowodzie postaci. Każda z nich uwikłana w swoje własne losy, walcząca z własną nędzą i własnymi wątpliwościami dołącza w końcu do zwartych szeregów bojowników, zgrupowanych wokół jednego sztandaru. Tu się wyjaśnia nieporozumienie tytułu. Nie „Ludzie i sztandary", ale „Ludzie i sztandar" Czerwony, socjalistyczny. Idea jego walk i zwycięstw jest treścią przewodnią książki i ona to pewnie kazała ją wydać powtórnie. Trzeba przyznać, że autorka nie ułatwiła sobie zadania tanim teoretyzowaniem, nie spłyciła swojej książki frazeologią demagogiczną, nie poprzestała na odświeżaniu sloganów. Pokusiła się o przedstawienie trudnych chwil przełomu, procesu narodzin socjalizmu polskiego, pierwszych jego klęsk i pierwszych zwycięstw. Proces ten — chyba całkowicie słusznie — uchwyciła poprzez ludzi, poprzez ich maluczkie, prywatne interesy, sekretne, intymne sprawy, poprzez ich najprozaiczniejsze życie, w którym znajdować powinien swoje odbicie, każdy prąd żywy, każda ideologia, pragnąca poprawić, ulepszyć ludzki byt. Wnikliwa analiza socjologiczno-psychologiczna pomogła Jareckiej w realizacji tego zadania. Sylwetki przez nią nakreślone przekonać potrafią prawdą swoich przeżyć i przemyśleń. Nie rażą tekturową szlachetnością, czy kiepsko klejonym „konfliktem", „tragedią", „powikłaniami". Są żywymi ludźmi.

Doskonała obserwacja opisywanego środowiska, żywy i naturalny, a jednocześnie bardzo oryginalny sposób przedstawiania jego cech, swobodna konstrukcja powieści, żarliwość wyraźnej w niej tendencji, nie ulegające w najmniejszym nawet stopniu żadnym wątpliwościom, ambitnie realizowane w większości wypadków dążenia do obiektywizacji,

wszystkie te walory nie uratowały książki Jareckiej od jednej wady: nieporadności syntetyzowania. Stanowczo za mało go na kartach „Ludzi i sztandarów", właśnie ludzi widzimy, brak masy. To jedno. W tych natomiast wypadkach autorka wyzyskuje spojrzenie przez soczewkę, robi to pośpiesznie, niesumiennie, powierzchownie dając w wyniku ogólniki, które np. nic istotnego o inteligencji początków XX wieku nie mówiąc, obciążają ją w ogólnym wydźwięku zarzutami stagnacji, wstecznictwa itd.

Błędy i zalety jednak, razem zsumowane, zalecają jeszcze raz przeczytanie omówionej przez nas tutaj w najogólniejszych tylko zarysach książki Gustawy Jareckiej.

Blasko Ibanez, Ziemia przeklęta, Warszawa—1947, „Książka", str. 194, tł. Zofia Szleyem.

Powieść tę czyta się jednym tchem. Pasjonująca fabuła, losy chłopa maurytańskiego, zmagającego się z klątwą wsi, ciążącą nad upra[illegible] przez niego polem, interes[illegible] niezwykle przebieg tej jedynej w swoim rodzaju walki, nie wyczerpują wszystkich walorów książki. Jędrny, pełen radosnych niespodzianek język, już od opisu poranku w pierwszym rozdziale zwraca i przykuwa do siebie uwagę. Kontakt z „Ziemią przeklętą" nabiera jednak właściwej wartości dzięki swoistej bardzo głębokiej problematyce, jaką poruszył w tym dziele Blasco Ibanez. Jednostronny socjolog literatury będzie usiłował wcisnąć postawiony tam problem w raz ustalone ramki kwestii chłopskiej, krzywdy stanu trzeciego i reformy rolnej. Problem leży wyżej: w dziedzinie zagadnień etycznych. Co zwycięża: miłość czy nienawiść? Kto porówna rozdział ósmy, w którym znienawidzonego dotychczas Batiste'a wieś w przypływie współczucia po śmierci jego najmłodszego synka obdarza wielką łaskawością, z rozdziałem ostatnim, w którym ta sama wieś w napadzie mściwości podpala jego gospodarstwo, zmuszając ponownie do tułaczki, ten nie będzie posądzał autora książki o łatwiznę i powierzchowność problematyki, a autora tej recenzji o gołosłowne pochwały. Trzeba tylko odpowiednio spojrzeć na „Ziemię przeklętą".

Zieliński Gustaw, Manuela, Łódź — Wrocław, 1947, wyd. Wł. Bąka, str. 214.

T.zw. egzotyczna powieść dla młodzieży. Są tu i przygody Polaka, służącego w armii napoleońskiej, jest i jego miłość do pięknej Hiszpanki, Manueli. A wszystko przyprawione sosem patriotyczno - tułaczym i trochę — myszką trąci. Wydobycie z lamusa starej książki Zielińskiego jest pomysłem raczej niepewnym, chociaż właśnie ze względu i na tę myszkę i na ciekawe a jednak dosyć wierne tło historyczne życzyć mu należy powodzenia. Szkoda tylko, że ilustracje Romany zbyt sztywne. Nie będzie to jednak poważną przeszkodą przy lekturze książki, która reprezentuje bardzo przeciętny poziom roboty pisarskiej z połowy dziewiętnastego wieku, ale znaleźć może wielu wśród młodzieży czytelników.

Remigiusz Kwiatkowski, Parasol noś i przy pogodzie, wydanie, wznowione, Warszawa 1947. „Syrena", str. 127.

Znacie? Znamy! Znamy! Chcecie? Chcemy! chcemy! No, to macie 10.000 egzemplarzy. Dla kogo wydano sympatyczną książeczkę Kwiatkowskiego? „Mądrym dla rozrywki, idyjotom dla nauki, melancholikom dla pocieszenia..." I wydawcom dla zarobku. A wszystkim czytelnikom dla kilku godzin dobrej, głębokiej i kulturalnej lektury.

Zyg. Lich.

Niemcewicz Julian Ursyn, Śpiewy historyczne, opr. Zdzisław Libeza, Warszawa, 1947, „Książka", str. XIII + 106, Bibl. Pisarzy polskich i obcych.

„**Śpiewy historyczne** są dzisiaj przede wszystkim dokumentem kultury literackiej w Polsce w początku XIX wieku. Stanowią przykład dzieła literackiego z tzw. zamówieniem społecznym" — pisze we wstępie do wydanych przez „Książkę" — „Śpiewów Zdzisław Libera.

Z tych właśnie względów zasługiwała książeczka Niemcewicza na nowe, powojenne wydanie. Nowa edycja „Śpiewów historycznych" opatrzona została zwięzłym komentarzem, który pozwala zrozumieć powody popularności „Śpiewów" u współczesnych oraz ich ówczesną funkcje społeczną. Na uwagę zasługuje miły wygląd nowo wydanego tomiku, który, jak i inne z tej serii, opatrzony został objaśnieniami pod tekstem na każdej stronie, co ułatwia lekturę. W sumie „Śpiewy historyczne to potrzebna i udana pozycja wydawnictwa „Książka".

G. M.

Śląsk i Pomorze w dziejopisarstwie polskim wieków średnich, opr. Aleksander Gieysztor, Warszawa, 1947, Sp. Wyd. „Książka", str. XIX + 48.

Dwudziesty szósty tomik Biblioteki Pisarzy Polskich i Obcych opracowany przez doc. dr. Aleksandra Gieysztora ma poważne walory. Przede wszystkim sam temat. Próżno by szukać w innym wydawnictwie popularnym zebrania średniowiecznych źródeł polskich, dotyczących Śląska i Pomorza. Następnie — wstęp i objaśnienia. Rzeczowe, pozbawione ciężkostrawnego balastu erudycji, podające tylko informacje konieczne dla zrozumienia tekstu. Tomik ten ukazał się niewątpliwie pod naciskiem pilnego „zamówienia społecznego" i przyznać trzeba, że zamówienie to spełnia.

J. Ż.

Winowski Leszek, Stosunek chrześcijaństwa pierwszych wieków do wojny, Lublin 1947 r., Tow. Naukowe K.U.L., str. 171.

Rozprawa, która niewątpliwie zainteresuje specjalistów. Tzw. szaremu czytelnikowi polecić jej nie można. Naukowe dysertacje, obarczone tradycyjnym bagażem terminologii i wielojęzycznych cytat, dążą do jednego celu: chcą rzucić nowe światło na stosunek Kościoła do zagadnienia wojny i pokoju, a przez to przyczynić się w przyszłości do rozwiązania tej palącej kwestii. Czy zadanie pierwsze udało się spełnić pracy Winowskiego, to nie ulega najmniejszej nawet wątpliwości. Czy udało się tej pracy spełnić zadanie drugie, odpowie — właśnie przyszłość

B. Ł.

FILM

Chyba najdłuższe ogonki stoją w tej chwili przed Palladium. Deanna Durbin i Charles Laughton ściągaja tłumy. Bileterzy, spoceni i ochrypli, nurkują pośród publiczności wywalczając maksimum możliwego ładu. Ręce kasjerki migają w tempie zaiste trudnym do uwierzenia. Praca jest ciężka (publiczność niezbyt ułatwia zadanie). Trzeba podkreślić wysiłek obsługi kina i osiągnięty względny porządek.

Publiczność zwabia przede wszystkiem śpiew i postać Deanny Dirbin — film opiera się na fascynującej sylwetce ojca stworzonej przez Charlesa Laughtona, który grą swoją bezwzględnie wybija się ponad resztę obsady.

Obraz należy do rzadkiego typu muzycznych komedii amerykańskich w których uniknięto typowych skrajności — sztucznego montażu scen rewiowych lub nagromadzenia tricków i gagów. Tego typu popularnych filmów rozrywkowych chętnie widzielibyśmy więcej.

Trudno jest wytłumaczyć sobie tytuł. Nie spotykamy imienia Ewy — nie ma też żadnych danych na to że źródło komedii wypływa w jakikolwiek sposób z dziejów naszej prababci. Wydaje się natomiast że podstawą akcji są wydarzenia rozgrywające się w przeciągu kilku chwil tuż przed spodziewaną śmiercią ojca i to właśnie podkreśla oryginalny tytuł angielski: ‚I,t Started with Eve" (?) czyli: „Zaczęło się w przeddzień, wieczorem" („Eve" znaczy tu nie Ewa lecz wieczór poprzedzający).

Ale to już pozostawmy bardziej powołanym i fachowcom tłumaczom Filmu Polskiego. Niestety dotychczas nie wprowadzono umieszczenia w programach oryginalnych tytułów co przy zdarzających się czasem pewnych odchyleniach tytułów polskich w stosunku do oryginalnych chwilami powoduje trudności w zidentyfikowaniu filmu.

Leszcz

Zbrodnia w Dzielnicy Północnej

24

Stefan Kisielewski (Kisiel)

Pozostaje sprawa samego wynalazku. Szyfr spłonął — czy znajduje się gdzieś jego kopia — nie wiemy. Dla kogo profesor Galard umieścił w swojej Biblii wiadomość o testamencie? Komu mówił o swoim wynalazku? Dlaczego posłużył się tatuażem — czy spodziewając się śmierci? Czy nie pozostawił jakiejś kopii za granicą? To są tajemnice, które dziwny ten człowiek zabrał ze sobą do grobu. Sądzę, że wiele będzie się jeszcze można dowiedzieć z zeznań Hagewanda, Randena i innych. Jeśli natomiast chodzi o osobę mordercy — sprawa jest jasna i nie tylko na poszlakach oparta. Mam tutaj pisemne zeznanie Edwarda Lore, które udało mi się uzyskać od niego parę dni temu w X.. przed jego wyjazdem za granicę — wyjazdowi temu niestety nie udało mi się przeszkodzić. Lore zeznał, że żona powiedziała mu, kto jest zabójcą, opisując całą sprawę szczegółowo — nie wiedziała wtedy, że następnego dnia sama zginie z tejże ręki. Mordercą jest radca Pikron. Oto zeznanie Lore'ego — więcej już nie mam nic do dodania.

Długie milczenie zapanowało w gabinecie. Przerwał je minister.

— Zaskoczony i zdumiony jestem tym wszystkim — powiedział tonem spokojnym, rozmarzonym jakby — w istocie zaś pozbawionym zdziwienia. — A więc pan, komisarzu, absolutnie pewien jest tych nadzwyczajnych historii, jakie mi pan tu opowiedział? To wszystko zdarzyło się naprawdę?

— Oczywiście, Ekscelencjo — komisarz był zmieszany tą dziwną reakcją na jego opowiadanie. — Biorę przecież za to pełną odpowiedzialność.

— Hm. A jeśli to właśnie profesor Galard był wrogiem Republiki, a radca Pikron jej obrońcą?

— To niemożliwe, Ekscelencjo. A jeśliby nawet tak było to...

— To co?

— Radca Pikron, jako winien podwójnego morderstwa powinien bezwarunkowo znaleźć się przed sądem!

— A jeśli zbrodni swych dokonał dla dobra, dla obrony Republiki? Jeśli oddanie go pod sąd zachwiałoby autorytetem Rządu a wzmocniłoby wrogów Republiki? Czyż nie można dokonać jednej zbrodni dla ocalenia milionów mieszkańców tego kraju?!

Komisarz milczał — wstrząśnięty. W słowach Ministra dźwięczało echo dawnej dyskusji z Alicją Dillon. Lecz tam mówiła anarchistka, przedstawicielka złowrogiego podziemia, a tu — Minister Republiki, stróż Prawa i Moralności. Czyż nie ma już na świecie prawa i moralności?

Podniósł oczy i napotkał nagle płonące w znużonej twarzy energią i życiem oczy Ministra. Niespodziewanie poczuł jego dłoń na swym ramieniu.

— Niech mi Pan wybaczy komisarzu te żarty — zbrodni popełniać nie wolno nikomu i w żadnym celu — pan ma rację. Winni będą surowo ukarani. Pan jest jednym z najlepszych, najdzielniejszych żołnierzy Republiki. Republika umie nagradzać swych obrońców. Lecz przed tym w jej imieniu żądam od pana jeszcze jednej ofiary.

— Słucham, Ekscelencjo.

— Niech pan zapomni o tej sprawie na dwa tygodnie. Za dwa tygodnie wezwę pana tutaj.

XIX.

Śnieg sypał za oknami, gęsty, ale powolny, roił się w powietrzu tak, że nie można było poznać, czy płatki lecą z góry na dół czy z dołu do góry, śnieg — pierwszy w tym roku śnieg w stolicy. Komisarz Gromel siedział w głębokim fotelu i nie mógł od tej białości oderwać wzroku; nagle przypłynęła mu do głowy myśl o Henrieccie Iberra. Czy także przez swoje okno obserwuje śnieg, pierwszy śnieg? Tylko, że jej okno jest trochę inne — okratowane...

Komisarz drgnął lekko. Upłynęło oto dwa tygodnie i minister wezwał go. Gromel siedział sam jeden w wielkiej, surowej ale wspaniałej sali audiencjonalnej — sam jeden, zgubiony pośród marmurów, foteli, rzeźb i dywanów A tam za oknem — płatki, płatki, płatki...

Gdzieś daleko otworzyły się drzwi Przez salę szedł minister — jakiż drobny wydawał się wędrując tak po długim, szerokim dywanie. W ręku trzymał gazete

Komisarz powstał. Minister był już blisko — jak zwykle mizerny, siwawy, zgarbiony.

— Dzieńdobry Komisarzu. Cieszę się, że pana widzę. A więc dzisiaj mamy pierwszy śnieg?

— Tak jest, Ekscelencjo.

— Niechże pan siada. Czytał pan już telegramy. A na dole? — tłustym drukiem:

— Niechno pn przejrzy tę stronę. Jest tu coś, co pana zainteresuje.

Komisarz patrzył: wypadki, kronika, może poranną prasę?

— Nie jeszcze, Ekscelencjo.

Tragiczna katastrofa. W dniu dzisiejszym na Bulwarze Wielkich Wodzów zdarzył się tragiczny wypadek. Samochód, w którym znajdowali się: Kamil Lorm, Dyrektor Departamentu Politycznego w Ministerstwie Administracji i Sprawiedliwości oraz dr Aleksander Pikron, jego zastępca, stanął nagle z niewyjaśnionych przyczyn w płomieniach, po czym nastąpił wybuch motoru. Obaj pasażerowie i szofer ponieśli śmierć na miejscu. Śledztwo w toku.

Komisarz Gromel podniósł oczy, lecz spuścił je zaraz pod spojrzeniem ministra. Panowała długo cisza. Nagle spłynęło w nią pytanie ministra:

— Czy pan jest wierzący, komisarzu?

Gromel zawahał się.

— Ja... nie... — to jest właściwie nigdy o tym nie myślałam.

— A ja — wierzę. I mimo to wziąłem te zbrodnię na swoje sumienie. Innego wyjścia być nie mogło — ja odpowiadam za życie milionów — za ich spokój.

W głosie jego zawibrowało podniecenie.

— Republika daje im życie. Nędza, niesprawiedliwość, troski, praca nad siły — znam to doskonale. Od rana do nocy wysilamy się, żeby to zmienić, poprawić, ulżyć im. Ale niech mi pan wierzy — to wszystko lepsze jest niż — tamto. Niż ci zbawcy świata, którzy chcą go przebudować z dziś na jutro, którzy chcą go zbawić promieniami profesora Galarda Pikron, Malton, Lore — to jedno i to samo. Dobre chęci — powiecie? Oczywiście — ludzie zawsze mają dobre chęci — tylko szatan ma złe chęci. Lecz dobra chęć nie może wyrażać się przez zbrodnię; prawda nie może posługiwać się przez zbrodnię; prawda nie może posługiwać się — tyranią. Zbrodnia musi być ukarana — i moja też będzie ukarana. Ale jednak — ocaliłem Republikę, choć na krótko. Bo oni znowu wrócą — to jest pewne. Ale ten — Pikron, był może najgorszy z nich. On rozkładał i plugawił Republikę od środka — on zasiał zbrodnię tu, w tym gmachu, on shańbił imię prawa. Dlatego musiał zginąć — jak zginą tamci. Wiedziałem zresztą o tym wszystkim od dawna — lecz był mi potrzebny. Pan miał rację, komisarzu — zbrodnia jest zbrodnią przez kogokolwiek i dla czegokolwiek by ją spełniano. Wiem — myśli pan teraz o mnie. Ja też nie jestem wyjątkiem!

Komisarz chciał zaprzeczyć, lecz podniecony minister nie pozwolił mu mówić.

— Pan jest czystym sługą Republiki, ja — skalanym. Trudno — każdy ma swoją drogę. I niech pan nie żywi złudzeń, komisarzu: jeśli powie pan o tej sprawie słowo, gdziekolwiek, kiedykolwiek, komukolwiek — czeka pana los... tamtych. Zna pan mnie już przecież — wie pan co potrafię. A teraz dziękuję panu i — żegnam. Za parę dni otrzyma pan awans i order Zasługi.

Komisarz Gromel szedł powoli przez ulice — białe płatki mrowiły się, kłębiły, unosiły, spadały, płynęły, gęsto, coraz gęściej. Ludzie szli obsypani śniegiem, auta huczały, tramwaje dzwoniły, w górze domy pobielone, nieba nad nimi nie ma tylko nieskończone mrowie śnieżnego konfetti, jakby na kolosalnym, białym balu. W tej bieli, jak niegdyś we mgle, miasto stało się jednolite, znikły dzielnice Północna, Wschodnia, Południowa, Zachodnia, pozostało tylko jedno wielkie, tętniące, pulsujące, rojące się, pełne pracy i zabawy, pełne nędzy i bogactwa, pełne troski i nadziei Milionowe Miasto, stolica Republiki, tej Republiki, która dziś wieczorem zaśnie spokojna na całym swym obszarze, w swoich miastach, miasteczkach, wsiach i samotnych domach, spokojna, że oto niebezpieczeństwo odeszło od jej granic. Ale czy na długo? Komisarz Gromel szedł zadumany przed siebie, nie patrząc dokąd idzie. Odegnał wszystkie inne myśli, w głowie wirowała mu tylko jedna: służyć nadal, służyć prawu, służyć sprawiedliwości, służyć Republice. I nie myśleć o niczym więcej. To niepotrzebne.

KONIEC.

Czytelnik uważa, że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia współczesnego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego, choćby odbiegające od stanowiska redakcji.

Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwa miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.

Nie spełnione ślubowanie

Sejm Czteroletni po uchwaleniu Konstytucji 3 maja dla dania wyrazu wdzięczności za dokonane odnowienie życia narodu złożył ślubowanie wzniesienia kościoła p. w. Bożej Opatrzności w stolicy. Dokonano poświęcenia kamienia węgielnego, ale rozbiory uniemożliwiły rozpoczęcie budowy kościoła.

Po odzyskaniu niepodległości Sejm Ustawodawczy równocześnie z uchwaleniem konstytucji w dniu 17 marca 1921 na posiedzeniu popołudniowym poza porządkiem dziennym po wysłuchaniu referatu posła ks. Blizińskiego uchwalił ustawę o wykonaniu ślubu Sejmu Czteroletniego (Monitor Polski z dn. 18.3.1921 Nr 63, Dz. Ust. z dn 6.4 1921 poz. 170). W myśl powyższej ustawy miała być wybudowana w Warszawie świątynia p.w. Bożej Opatrzności na koszt Państwa. Miejsce pod budowę kościoła miało być wybrane przez komisję złożoną z J. E. Ks. Prymasa, Arcybiskupa Warszawskiego, Ks. Kardynała Arcybiskupa Krakowskiego, Marszałka i Wicemarszałka Sejmu, Prezydium Rady Miejskiej i Prezydenta st. m Warszawy pod przewodnictwem Marszałka. Ministerstwo Robót Publicznych miało wnosić potrzebne kwoty do budżetu Państwa z tym, że miało być dopuszczalne uzupełnienie kwot, potrzebnych na budowę, ze składek publicznych. Przy kościele miało być ufundowane przez Rząd wieczyste stypendium mszalne dla odprawiania codziennej mszy św. na intencję pomyślności Rzeczypospolitej i za dusze wszystkich Polaków, którzy zginęli w walkach o niepodległość Ojczyzny albo w czasie niewoli za miłość lub wierność ku Ojczyźnie zamordowani zostali. Jako kamień węgielny miała być użyta część kamienia węgielnego, znajdującego się w Ogrodzie Botanicznym w Warszawie, położonego tam pod budowę kościoła zgodnie z uchwałą Sejmu Czteroletniego.

W r. 1921 została wstawiona do budżetu na budowę kościoła kwota 10 mln. mk., lecz w następnych latach żadnych kwot nie preliminowano i budowa nie została rozpoczęta. Dopiero w r. 1939 przed wybuchem wojny sprawa wykonania ślubowania została podniesiona na sesji budżetowej Sejmu. W Senacie przypomniał ją ks. prałat Bliziński, referent ustawy o Votum Narodowym w pierwszym Sejmie Ustawodawczym. Według oświadczenia premiera wydano zarządzenie uporządkowania placu pod budowę kościoła, lecz w budżecie żadna kwota na budowę nie została przewidziana.

Minęła wojna, która tak wiele pociągnęła za sobą ofiar. Znowu powiększyła się lista tych, którzy „zginęli w walkach o niepodległość albo za miłość i wierność ku Ojczyźnie zamordowani zostali". Tak wiele jest zniszczonych kościołów w stolicy, że może niesposób przystąpić zaraz do budowy kościoła Bożej Opatrzności. Nie ma jednak żadnych przeszkód, aby zrealizować drugą część ślubowania o ufundowaniu wieczystego stypendium mszalnego w intencji pomyślności Ojczyzny i za wieczny pokój tych, którzy zginęli z bronią w walkach o wolność lub jako ofiary przemocy. Do czasu wzniesienia kościoła Bożej Opatrzności mogłaby być odprawiana przewidziana w ustawie o Votum Narodowym codzienna msza św. w jednym z istniejących kościołów odpowiednio do decyzji J. E. Ks. Kardynała Prymasa, a fundusz mszalny mógłby być utworzony ze składek publicznych.

St. Ch.

Wielce Szanowni Panowie!

W Nr. 9 tyg. „Dziś i Jutro" str. 7 w dziale „Tydzień Kulturalny", pisząc o katolikach czeskich, wspomnieliście Szan. Panowie, że dzieła Chestertona o Św. Tomaszu z Akwinu „nigdy u nas nie próbowano tłumaczyć" W imię ścisłości proszę o sprostowanie tej informacji. Rzecz bowiem tak się miała. Po przetłumaczeniu tegoż Chestertona książki o św. Franciszku z Asyżu, która się drukuje obecnie nakładem Księgarni św. Jacka w Katowicach, wziąłem się do św. Tomasza i byłem już bliski końca, gdy wybuchło powstanie warszawskie i mój rękopis spłonął. Jestem obecnie w trakcie powtórnego tłumaczenia tego dzieła dla wyżej wymienionej księgarni, która uzyskała w swoim czasie od Chestertona praw jego przekładu.

Z wysokim poważaniem
Artur Chojecki

Wznowienie „Jasnych książek"

Nawiązując do pięknych tradycyj Katolickiego Funduszu Wydawniczego, wznawia Księgarnia św. Wojciecha Katolicki Klub Czytelniczy „JASNE KSIĄŻKI".

Przed wojną w latach 1936 — 1939, ten pierwszy w Polsce Klub Czytelniczy cieszył się wielkim uznaniem i udziałem zarówno duchowieństwa jak i rodzin katolickich, dostarczał im bowiem rocznie 12 tomów wysoce wartościowych utworów beletrystycznych po niebywale niskiej cenie zł. 2.— za każdy tom, z których wiele liczyło ponad 300 stron druku.

Wszystkie „JASNE KSIĄŻKI" wydane w ostatnim roku przed wybuchem wojny, ukazały się w oprawie całopłóciennej i w niezwykle starannym wykończeniu. Księgarnia św. Wojciecha ogłosi wkrótce obecne powojenne warunki abonamentu „JASNYCH KSIĄŻEK" oraz wymieni autorów, których utwory ukazać się mają jeszcze w roku bieżącym.

KSIĄŻKI NIEDOCENIANE

(Dokończenie ze str. 5-ej)

mniej do badania rękopisów bibliotek warszawskich. „Zaraz pierwsza stronica dzieła — zauważa Finkel — podaje. 1 rękopis z Archiwum miejskiego we Lwowie, 2 z Bibl. Ossolińskich, 2 z Bibl. Jagiellońskiej, 2 ze Zbiorów Rapperswilskich". I kompetentniejszy sędzia konkluduje. „Mimo uwag i zarzutów... należy stwierdzić, że Bibliografia pamiętników Edwarda Maliszewskiego jest jednym z najlepszych bibliograficznych dzieł polskich, ponieważ autor z wyjątkową zapobiegliwością zebrał, sam skontrolował, podał ze skrupulatną dokładnością materiał. Należy mu się hołd głęboki za tę niepospolitą pracę, która służyć będzie przez długie lata historykom polskim".

Jest rzeczą dowiedzioną, że przy **gruntownie nieprzychylnym stosunku do dzieła, łatwo jest zdyskredytować każdego bez wyjątku autora,** jak literatura szeroka i głęboka, w szczególności argumentami ad personam, fałszami i zapuszczaniem się w nieistotne szczegóły i twierdzenia. Nie tylko każda z bibliotek warszawskich, ale każda biblioteka w Polsce była i jest daleka od kompletu w dziale pamiętnikarstwa. Nie ma też dzieła bibliograficznego, z tysiącami tytułów i dziesiątkami tysięcy dat i cyfr, bez mimowolnych, drobnych niedokładności i opuszczeń, mimo najdalej idącej pedanterii autora.

Zdarzało się niejednokrotnie autorowi niniejszego felietonu — przed wojną i podczas wojny — że z ust rzeczoznawców słyszał lekceważące uwagi o bibliografii Maliszewskiego. Niepowetowane szkody wyrządza sprawie oświaty niesprawiedliwa ocena, poparta autorytetem farby drukarskiej. „Na czym pan opiera swój sąd?" „Na tym, że objechali autora strasznie w „Kwartalniku Historycznym". I rzecz charakterystyczna, paszkwile tkwią doskonale w ludzkiej pamięci, natomiast słowa obronne posiadają znacznie mniej szans życiowej kariery. Mowa tu naturalnie tylko o książkach, pozbawionych rozgłosu, cichych, skromnych, niezauważonych, niedocenianych. Słyszałem też niejednokrotnie z ust domniemanych kompetentnych sędziów z a w i s t n i k ó w, zwłaszcza za życia autorów i od dobrych ich znajomych, zdania: „Et, ta książka ma niedociągnięcia", „posiada różne luki" — jakby chcieli radzić: „Nie bierzcie jej do ręki. To nie jest książka doskonała". Na przykład: Brücknera „Słownik etymologiczny", Stadtmüllera „Słownik techniczny", Zawilińskiego „Dobór wyrazów".

Wbrew utartej opinii o doskonałości książki kucharskiej Disslowej, niektóre gospodynie odmawiają jej jakiejkolwiek wartości, ponieważ... przeznaczona jest tylko dla tych, co mają możność zastosowania wysokogatunkowej treści zdolnej zaspokoić najwyższe wymagania podniebienia w praktyce. Wiadomo, że w tym celu potrzeba: a) dobrej woli b) środków materialnych względnie technicznych na terenie własnej gastronomii. Wiedzą również doskonale najwytrawniejsze gospodynie, że trzeba stosowanie elementarnych nauk w życiu rozpocząć od kupna lub poznania cenionej książki. Poza Disslową wystarczyć komuś zresztą może nadal klasyczne dzieło Ćwierczakiewiczowej...

Nie ma innego sposobu udoskonalania pożytecznych książek, jak ulepszać je od wydania do wydania. „Leksykon muzyczny" Riemanna nie od razu był tak wartościowy, jak jego jedenaste lub dwunaste wydanie. Każda edycja ulegała zmianom i powiększeniom, dzięki współdziałaniu czytelników z autorem i wydawcą, dzięki komunikowaniu im poprawek i uzupełnień, dzięki kontynuacji dzieła przez odpowiednich następców po śmierci redaktora. Nie od razu „Literatura niepodległej Polski" Ignacego Chrzanowskiego stała na wysokości walorów dziesiątego wydania podręcznika. Byleby znalazł się człowiek, umiejący potraktować z należną czcią dziedzictwo po znakomitym uczonym i powołany do dodania swej własnej erudycji, to wydawca nie potrzebuje nawet wahać się: czy podręcznik Chrzanowskiego warto dzisiaj wydać na nowo? Dykcjonarz oksfordzki ulepszany i uzupełniany jest również stale po śmierci inicjatora. U nas nie wiele było takich wydań pośmiertnych uzupełnianych, jak „Współczesna Literatura polska" Feldmana (dwa wydania od r. 1919) lub „Dzieje myśli politycznej polskiej" (II wydanie przejrzane i uzupełnione wysoce kompetentnie przez syna prof. Józefa Feldmana). Nie ma zaś a n i j e d n e j e n c y k l o p e d i i podręcznej, ciągle ulepszanej po śmierci redaktora, jak Larousse'a (zmarłego w roku 1875). Gdyby najbliższa rodzina nie stała na straży dobra leksykalnego, dysponując środkami technicznymi, to nie mielibyśmy i ostatniego wydania encyklopedii Orgelbranda (pierwsze najlepsze, 28 tomów, 1859—1868, nota bene dla wydawcy mocno deficytowe; ostatnie, 18 tomów, 1904—1912), ani powojennych wydań Słownika wyrazów obcych Arcta.

Cóż świadczy lepiej o żywotności, przydatności i potrzebie kompendialnych dzieł, niż ich powodzenie, i to powodzenie książek tego rodzaju, jak Chrzanowskiego i Feldmana"?

Niesłusznie przekreśla się u nas zbyt pochopnie znaczenie książki z powodu jakiegoś niedociągnięcia, z powodu skazy, która może być usunięta w przyszłości, lub drobnego błędu rzeczowego, nieuniknionego między wieloma zaletami.

Nieprędko zapewne zjawi się nowe dzieło, mogące współzawodniczyć z „Obrazem współczesnej literatury polskiej" K. Czachowskiego. Prawdopodobnie nie zjawi się nigdy żadne, zastępujące niepoślednie jego wartości informacyjne, odnoszące się do okresu młodopolskiego i międzywojennego. Zupełnie jednak niepotrzebnie książki powyższego typu muszą być uważane przez ich sumiennych czytelników za o p a t r z n o ś c i o w e, kiedy nie wymagają one niczego innego, jak tylko prawdziwego uznania i zrozumienia wśród społeczeństwa, wymagają czynnego poparcia przez wcielanie ich do bibliotek i umieszczanie na poczesnych miejscach, powracanie do nich i właściwe ich wykorzystywanie. Przez współdziałanie autorów i współpracę kolegialną nad dziełami przerastającymi siły jednostek, przez rzeczową ich ocenę, opartą na rozumnym szerzeniu oświaty.

Antoni Tre[illegible]iński

ODEZWA

w sprawie kościoła św. Krzyża

Zbliża się rok 1949, a z nim stuletnia rocznica zgonu Fryderyka C h o p i n a, największego muzyka Polski.

Cały świat kulturalny przygotowuje się już dziś, by należycie uczcić tego Geniusza muzyki, któremu ludzkie serca mają do zawdzięczenia tyle najwznioślejszych wzruszeń.

Dla Polski będzie to wielki rok.

Niegdyś starano się sprowadzić do kraju naszego trumnę z doczesnymi szczątkami tego prawdziwego króla polskiej muzyki i złożyć tam, gdzie im najbardziej przystoi, na Wawelu, w grobach polskich królów, obok Adama Mickiewicza, króla polskiej poezji. Niestety, w ówczesnych warunkach okazało się to niemożliwe. To też przywieziono przynajmniej Jego Serce do **Warszawy** i umieszczono **w kościele św. Krzyża**, gdzie znajduje się przeszedłszy z winy niemców, po upadku Powstania w 1944 r., krótkotrwałą, na szczęście translokację.

Serce Chopina złożone w jednym z filarów, okryte płytą marmurową o pięknym profilu, uwieńczoną świetną podobizną głowy Mistrza, dłuta Leonarda Marconiego, było stale odwiedzane przez wielbicieli Jego talentu i gromadziło liczne ich zastępy corocznie na nabożeństwie w rocznicę Jego zgonu.

W ciągu roku 1949 z pewnością tysiące Polaków i obcokrajowców zjeżdżać będzie do Warszawy i przesuwać przez kościół Św. Krzyża, pragnąc złożyć hołd Sercu, w którym mieściły się nieprzebrane skarby piękna, oczarowującego bez ustanku niezliczone ludzkie dusze.

Niestety obecny wygląd kościoła Św. Krzyża, zniszczonego okrutnie przez Niemców podczas Powstania w 1944 r., nie odpowiada nadchodzącym uroczystościom.

O nadaniu mu odpowiedniej **szaty zewnętrznej,** o remoncie fasady i podejścia do kościoła nawet marzyć nie można. Jedynie Państwo mogłoby się zdobyć na tak kolosalne koszta.

Zarząd parafii Św. Krzyża usiłuje przynajmniej uporządkować wnętrze świątyni. I tak: zamurowano otwory w sklepieniach i ścianach po pociskach armatnich i bombowych, tynkuje się wnętrze, by je przygotować pod malowanie, w robocie są nowe ławki, naprawiono częściowo organy, wreszcie zasklepiono posadzkę. Wysadzili ją bowiem najeźdzcy w powietrze dynamitem, na przestrzeni $\frac{1}{3}$ kościoła, w obawie, że w podziemiach czają się powstańcy.

Pozostaje jeszcze położyć na nią **marmurową posadzkę.**

Parafianie świętokrzyscy na to już zdobyć się jednak nie mogą.

Apeluję więc do wszystkich wielbicieli Chopina i do ludzi dobrej woli, by zechcieli dopomóc w wielkiej trosce o nadanie kościołowi, w którym znajduje się Serce Jego, na te uroczystości, wyglądu, który by nie skompromitował Warszawy.

Posadzka ma być marmurowa jaka była poprzednio, o płytach białych i czarnych. Potrzeba mniej-więcej 250 mt. kw Jeden metr wraz z ułożeniem kosztuje **10.000 zł.**, zatem, jedna płyta **2.500 zł.**

Koszt duży. Gdyby jednak w społeczeństwie, zwłaszcza wśród zawsze na takie sprawy hojnej Warszawie, rozwinęła się żywsza akcja ufundowania płyt marmurowych na posadzkę w kościele, chowającym w sobie Serce Chopina, z pewnością, w niedługim czasie, potrzebna kwota rychłoby się znalazła.

Podaję zatem tę myśl wszystkim entuzjastom muzyki szopenowskiej, niech raczą rozwinąć energiczną działalność w tym kierunku, zwłaszcza w okresie zbliżających się Świąt, odwiedzin, ślubów i chrztów i zaagitują wśród znajomych gorliwie, by i w tej formie uczcili wielkiego Muzyka Polski.

Z zaufaniem polecam tę wdzięczną akcję zapałowi wielbicieli Chopina, wiem, że się nie zawiodę i że na uroczystości stuletniej rocznicy Jego zgonu, kościół pokryje nowa posadzka.

Będzie to dowodem, że Warszawianie cenią sobie posiadanie w swym mieście takiej narodowej Relikwi i starają się nadać miejscu, w którym ona się znajduje, należyty wygląd.

Proboszcz parafii Św. Krzyża w Warszawie

Ofiary na ufundowanie płyt marmurowych proszę odsyłać albo bezpośrednio pod adresem X. L. Petrzyk. Proboszcz parafii Św. Krzyża Warszawa, Krakowskie Przedmieście 1, albo na conto K.K.O. Odbudowa kościoła Św. Krzyża Nr 221

Redagują: Bolesław Piasecki Dominik Horodyński i Mieczysław Kurzyna
Wydawca: Kolegium Redakcyjne
Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81 m. 17. tel. 880-71. Konto P.K.O Nr I 727
Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz poniedziałków i wtorków, godz 12.30 — 13.30
Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych.
Druk. Skolimewska 5.
B-49204